CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

ROK XXIII

ŚWIAT

№ 15

WARSZAWA, DNIA 14-go KWIETNIA 1928 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

W sprawie Uniwersytetu Warszawskiego

Wśród gwaru wielkich spraw państwowych i społecznych, zajmujących rząd i ciała ustawodawcze, wśród ciężkiej walki o byt wzbogacającego się po wojnie społeczeństwa, istnieją wielkie dziedziny życia, o których się zupełnie zamilcza, jako o sprawach nieprzynoszących bezpośredniej korzyści, albo których się nie docenia, jako spraw, z któremi społeczeństwa warszawskie i dzielnicy dawnej Kongresówki bardzo mało dotychczas miały do czynienia. Do takich spraw należy niewątpliwie sprawa budowy Uniwersytetu Warszawskiego.

Warszawa za czasów zaborczych interesowała się jedynie studentami, lecz z Uniwersytetem jako takim nigdy nie miała nic wspólnego. Dziwnem się jednak wydaje, że ten stan nienormalny, — wytworzony przez warunki polityczne, trwa nadal i obojętność społeczeństwa w stosunku do źródła wiedzy i siedliska kształcenia jego dzieci nietylko się nie zmienia, lecz zdaje się przechodzić w stan chroniczny.

Życie jednak biegnie szybko naprzód i od początku wojny zmieniło się bardzo dużo. Warszawa przestała być miastem gubernjalnem, Uniwersytet zaś z jednego z najgorszych w Rosji stał się Uniwersytetem stołecznym 30 - miljonowego Państwa Polskiego. To też chciałbym zwrócić uwagę społeczeństwa i czynników rządowych na stan dzisiejszy tego Uniwersytetu, wskazać na grożące w najbliższej przyszłości niebezpieczeństwo, a także rzucić kilka myśli, które być może znajdą należny oddźwięk.

Przedewszystkiem podnieść należy, że rosyjski Uniwersytet w Warszawie w największym swym rozkwicie posiadał mniej więcej około 1500 studentów. Dzisiejszy zaś Uniwersytet Polski w tych samych murach musi pomieścić około 10 tys. osób. Wydziałów przed wojną było tylko cztery, t. j. prawny, — przyrodniczo - matematyczny, humanistyczny i lekarski; przybyły zaś wydziały: farmaceutyczny (jedyny w Polsce), weterynaryjny (jedyny w Polsce) i trzy teologiczne, t. j. teologji katolickiej, ewangelickiej i prawosławnej. Nowe bowiem warunki polityczne, nowe potrzeby życia samodzielnego państwa, jakoteż i względy finansowe zmuszają Rząd do łączenia rozwijających się nowych gałęzi wiedzy w jedną większą jednostkę administracyjną. Zrozumiałą jest rzeczą, że taki rozrost Uniwersytetu pociąga w swej konsekwencji zwiększone zapotrzebowanie sił profesorskich, sal wykładowych i biur zarówno dziekańskich, jak i ogólno - uniwersyteckich.

Jeśli porównamy liczbę studentów na poszczególnych wydziałach przed wojną i obecnie, to otrzymamy następujący obraz:

	Prawo	Mat-Prz.	Human.	Med.	Farm.	Weter.	Teologja		
							Kat.	Ewang.	Prawosł.
1902/3 r. 1435	556	308	60	400	LLL	—	—	—	—
1926/27 r. 9508	2600	1720	3280	1139	285	240	57	60	127

Z powyższej tabeli widać, że wydziały: lekarski i farmaceutyczny razem posiadają obecnie tylu studentów, co przed wojną cały Uniwersytet. Pierwszy zaś rok prawa 1123 i humanistyki 1100, a więc prawie tyleż. Jakim więc sposobem dokonywa Uniwersytet tej sztuki wypełnienia swego obowiązku wykładowego? Widzimy z jednej strony rozpełzanie się jego pomieszczeń po mieście przez wynajmowanie sal wykładowych i lokali na laboratorja: Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, Grochowska 77 (na Pradze), Pałacu Staszyca, Krakowskie Przedm. 1, Plac Trzech Krzyży, Chocimska 20 i t. d. A wydział lekarski, który prawie nie posiada swych klinik, lecz mieści się w szpitalach warszawskich, rozpostarł się między ulicą Bonifraterską, Krakowskiem Przedmieściem, Litewską, Starynkiewicza i Elektoralną. Zdawałoby się zatem, że ten Uniwersytet jak polip swemi mackami objął całe centrum miasta, które ledwie dyszy w jego objęciach. Tymczasem nikt się tem nie zatroszczy, że słuchacze muszą biegać z jednego wykładu na drugi po kilka kilometrów bez chwili wypoczynku, bez jedzenia, często piechotą, niszcząc zdrowie, wydając ostatni grosz na tramwaje.

Druga strona tego zagadnienia jest jeszcze gorsza. Jak bowiem pomieścić w jednej sali przeszło 1000 osób, gdy największa aula może pomieścić wygodnie zaledwie 400. To też Uniwersytet wynajmuje częściowo wielką salę Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, przeważnie zaś gniotą się słuchacze w salach uniwersyteckich. Ale wystarczy wejść do takiej sali po godzinie wykładu, aby się przerazić, jak ta młodzież i profesor mogli tutaj wysiedzieć przez cały ten czas. Nic też dziwnego, że zdarzają się często przypadki zemdlenia, a słuchacze słabsi fizycznie zmuszeni są do opuszczania wykładów.

A gdyby ktoś z czytelników zainteresował się i przyszedł do głównego gmachu w czasie pauzy między wykładami, zobaczyłby tam rzeczy, urągające nietylko najprymitywniejszym wymaganiom higjeny, ale wprost niedopuszczalne z punktu widzenia przepisów bezpieczeństwa. Na korytarzach i na schodach tłumy młodzieży stojącej lub przepychającej się w różnych kierunkach, zajadającej lub palącej papierosy, bez możności odetchnięcia świeżem powietrzem i umycia rąk. Ten ciekawy zobaczyłby ogonki słuchaczek, czekających kolejki na załatwienie swych czynności fizjologicznych, gdyż brak jest miejsca na budowę odpowiednich ubikacji. Teatry, kina lub inne podobne instytucje posiadają odpowiednio urządzone wentylatory i drzwi rezerwowe na wypadek pożaru, tutaj zaś słuchacze i profesorowie zatruwają sobie płuca podczas wykładu, a w nagłych wypadkach jedyne rezerwowe wyjście mogłyby stanowić okna pierwszego i drugiego piętra. Jeśli zatrzymamy się obecnie na wydziale lekarskim, to, jak już zaznaczyłem, nie posiada on prawie własnych klinik, lecz korzysta z wynajętych oddziałów szpitalnych. — Niektóre z nich, wybudowane przed kilkudziesięciu laty, wystarczały zupełnie na potrzeby ówczesne, dzisiaj zaś są ciasne i nie odpowiadają najprymitywniejszym wymaganiom leczniczym. Sale wykładowe w tych klinikach to zwykłe sale szpitalne, również wystarczały kiedyś dla przedwojennej liczby słuchaczy. Dziś, kiedy na jednym roku znajduje się około 200 studentów, są bezwzględnie za małe. Słuchacze cisną się jeden na drugiego, nie mogąc notować wykładów, ani też zobaczyć demonstrowanych im chorych, a znaczna część ich odchodzi wprost od tych sal, gdyż nie jest w stanie znieść tego zaduchu i ciasnoty (szpital św. Ducha, Bonifratrów).

Zakłady chemiczne, o których już kilkakrotnie były wzmianki w prasie, mogące pomieścić zaledwie około 60 słuchaczy, muszą służyć do ćwiczeń setkom, a brak odpowiednich urządzeń wentylacyjnych znowu powoduje zatruwanie organizmów młodych adeptów wiedzy. To też nie wszyscy to wytrzymują i częste wypadki omdlenia są na porządku dziennym. Oprócz tego część zakładu chemicznego znajduje się w gmachu obok zakładu mineralogicznego, dokąd, wskutek złej wentylacji, dostają się wyziewy siarkowodoru i niszczą piękne zbiory minerałów, na co kierownik tego zakładu skarżył się wielokrotnie.

Oto stan dzisiejszy tego, co jest. Ale zapytajmy, czego Uniwersytet nie ma i, jak to się odbija na wartości studjów. Uniwersytet jest to organizm żywy, który musi się rozwijać, iść z postępem wiedzy i przystosowywać się do nowych warunków politycznych i społecznych. Wobec kolosalnego rozwoju techniki życia, musi kłaść coraz większy nacisk na kształcenie praktyczne młodzieży. Toteż jesteśmy świadkami zjawiska, że ciężar zajęć uniwersyteckich na zachodzie i w Ameryce przesuwa się z sal wykładowych do pracowni i seminarjów. I oto znów kilka przykładów: na wydziale lekarskim nie mają zupełnie pomieszczenia zakład biologji, historji i filozofji medycyny, rentgenologji, anatomji topograficznej i chirurgji operacyjnej, dentystyki i inne. Na wydziale przyrodniczym — chemji fizycznej i cytologji, na wydziale farmaceutycznym — pracowni chemicznej i wielu innych. Wydział prawny i humanistyczny nie mogą prowadzić szeregu seminarjów z powodu braku lokali, jak anglistyka, pewne katedry filozoficzne, archeologja klasyczna i inne. Nie można też zużytkować pięknych darów bibljotecznych, jak bibljoteka wydziału teologji ewangelickiej, bibljoteka indo - europejskiej filologji z powodu braku miejsca na ich pomieszczenie. A nadchodzący wkrótce z Rosji wspaniały zbiór numizmatów w liczbie około 10.000 sztuk nie ma odpowiedniego lokalu. A ileż katedr nie można obsadzić z tego powodu, że kierownicy nie mieliby miejsca pracy ani dla siebie, ani dla swych uczniów.

Spójrzmy teraz, co się dzieje z bibljoteką ogólno - uniwersytecką: posiada ona około 750.000 tomów, w tem bezcenne zbiory rękopisów, starych druków, a wzbogacona nabytkami, rewindykowanemi z Rosji, jak gabinet rycin Stanisława Augusta, liczne stare księgozbiory, dzisiaj przedstawia olbrzymią wartość i zajmuje 6 albo 7 miejsce wśród bibljotek europejskich. I ta oto bibljoteka dusi się wprost w swych murach, gdyż co roku przybywa około 10.000 tomów, a dyrektor bibljoteki oświadczył mi w tych dniach, że za lat trzy będzie musiał zamknąć dopływ nowych książek, gdyż nie będzie miał ich gdzie pomieścić.

Tak się oto przedstawia stan obecny Uniwersytetu stołecznego i jeśli tak potrwa dalej, musi się on zatrzymać w swym rozwoju i stać się instytucją martwą, nadając się raczej do muzeum przeszłego historycznego, niż instytucją, dającą nowe wskazania naukowe i gwiazdą przewodnią rozwijającego się Państwa.

W konsekwencji należy zapytać, cóż na to władze akademickie? — Dlaczego nie dobijają się do odpowiednich czynników, aby ratować instytucję, za którą one ponoszą odpowiedzialność. Przecież władze akademickie zobowiązują się wobec młodych adeptów i społeczeństwa, że przygotują odpowiednio przyszłych fachowców i dadzą im wszystko to, czego wymagają dzisiejsze skomplikowane warunki.

Odpowiedź na to pytanie nie jest tak prosta, jakby się to napozór wydawało. Władze akademickie

uświadamiają sobie całkowicie grozę położenia, jak również i to, że nie mogą dotrzymać zobowiązań, jakie zaciągają wobec społeczeństwa i młodzieży. Jednakże ulegają one silniejszemu nieświadomemu prądowi życia, temu masowemu, często wbrew własnemu interesowi napływowi młodzieży do szkół wyższych. Chcąc jednak zapobiec złemu, władze akademickie radziły nad temi sprawami, pisały memorjały do władz wyższych, obchodziły co pewien czas niemal wszystkich ministrów i urzędników wyższych, lecz mimo to starania te u wszystkich poprzednich rządów nie odniosły żadnego skutku.

Możnaby im zarzucić, że może zamało energicznie to czynią, ale to już taka natura uczonych. Zagłębieni w swej nauce, nie umieją się reklamować i otoczeniu wykazać dobitnie i w barwach rzeczywistych swej ciężkiej sytuacji. Nie umieją też oni wykorzystać należycie prasy, w której rozmaite sprawy sądowe, kradzieże, zabójstwa, bale, kina, teatry i teatrzyki zapełniają codziennie duże szpalty, a czytelnicy entuzjazmują się i rozczulają na temat tego rodzaju wydarzeń życiowych. Toteż możemy obserwować jako stałe zjawisko, że rozmaite instytucje sportowe, kooperatywy mieszkaniowe, otrzymują olbrzymie sumy na budowę gmachów publicznych i mieszkań prywatnych, a znowu w prasie są pogłoski, że miasto do spółki z Rządem ma budować nowe teatry, Uniwersytet zaś pozostaje stale Kopciuszkiem, na którego nie zwraca się uwagi.

Posiada wprawdzie Uniwersytet przeznaczone przez miasto place na polu Mokotowskiem pod budowę wydziału lekarskiego i przyrodniczego, ale nie ma pieniędzy na ich budowę. Toteż na polach tych wiatr hula, jak na stepie i trawa rośnie spokojnie. A obecnie zaczynają kursować nawet pogłoski, iż wobec tego, że Uniwersytet nie wykorzystuje swych terenów, miasto ma zamiar je odebrać i przeznaczyć na co innego, bardziej napozór popłatnego.

Ale władze akademickie mogą ze swej strony również zapytać, co robi społeczeństwo wobec tej sytuacji, cóż robią rodzice tej młodzieży, która ma zamiar lub już się kształci w Uniwersytecie.

Na początku każdego roku szkolnego słychać liczne utyskiwania na brak miejsca, z powodu czego odpada tysiące młodzieży od progów Almae Matris. W tym też czasie tysiączne protekcje udają się do rektora, dziekanów i profesorów, a nieco później czyta się w prasie o tych strasznych opłatach (141 zł. rocznie), jakie muszą rodzice opłacać w Uniwersytecie za swe dzieci. A potem znowu w prasie cisza i znowu wypadki, zbrodnie, sensacje, kina, teatry i teatrzyki. Nikt się bowiem nie zainteresuje warunkami, w jakich młodzież pracuje, nikt się nie zatroszczy, czy ma ona odpowiednie pracownie i urządzenia do nauki. Obecnie coraz częściej odbywają się w Warszawie kongresy międzynarodowe, po kilkadziesiąt osób, rozmaitych uczonych świata co roku zwiedza urządzenia uniwersyteckie, bawiąc w Warszawie bądź to przejazdem, bądź też przyjeżdżając na specjalne wykłady dla różnych wydziałów Uniwersytetu. Władze uniwersyteckie, chcąc im pokazać nasz Uniwersytet, niekiedy rumienić się muszą za godność Wszechnicy stołecznej trzydziestomiljonowego kraju.

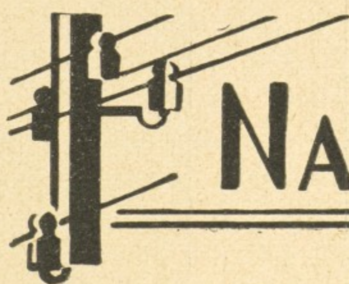
Szerokie masy t. zw. inteligencji, które nigdy z Uniwersytetem nie miały nic do czynienia, są i zostaną obojętne na jego potrzeby. Ale czy mają zostać obojętni nadal i ci z prawdziwej inteligencji, którzy zdolni są ocenić wartość nauki, szczególnie w dzisiejszych czasach, gdy wyścig pracy, techniki i umiejętności decyduje o przyszłości narodów? I ci, którzy dziś zajmują wysokie stanowiska i posiadają wielkie fortuny, a wynik swej dzisiejszej karjery zawdzięczają temu właśnie Uniwersytetowi, do którego też posyłają dzisiaj swe dzieci. Czy obojętnymi mają nadal pozostać Rząd i ciała ustawodawcze?

Głos mój jest bodaj pierwszym, który obszerniej podnosi tę kwestję. Jest to poważne ostrzeżenie przed grożącem niebezpieczeństwem, i sądzę, że znajdą się ludzie, którzy bliżej zainteresują się tą sprawą. Jeśli Uniwersytety w Wilnie i Poznaniu znalazły ofiarodawców, którzy zapisali swe majątki lub większe sumy pieniężne na dobro tych Uniwersytetów, czyż stolica państwa i nasza dzielnica nie znajdzie im podobnych? Przecież ta sama dzielnica przed wojną za czasów rosyjskich potrafiła zebrać wielką sumę na budowę Politechniki Warszawskiej.

Rząd ma w projekcie zaciągnięcie pożyczki wewnętrznej na cele inwestycyjne, będzie więc miał pieniądze, które należałoby częściowo przeznaczyć i na rozbudowę Uniwersytetu. Potem zaś, wstawiając pewną sumę co roku do budżetu, możnaby w przeciągu kilku lat zmienić gruntownie sytuację.

Chciałbym, aby głos mój znalazł oddźwięk zarówno na łamach prasy, jak i rozważaniach czynników rządowych. Sądzę, że to pobudziłoby obydwa te czynniki do wglądnięcia w tę sprawę i raz wreszcie ruszyłoby ją z miejsca. Społeczeństwo bowiem powinno domagać się od Rządu, aby dał dzieciom jego należyte fachowe wykształcenie, ale i samo powinno pójść Rządowi na rękę i wesprzeć go swojemi ofiarami.

K. M.



NA WIDNOKRĘGU.



PODRÓŻ DO RZYMU.

Protokóły dyplomatyczne dużo mają zawsze kłopotu z ceremonjałem przyjęć głów koronowanych i naczelników państw republikańskich, przyjeżdżających do Rzymu. Powodem jest ten fakt szczególny, w żadnem innem mieście stołecznem niespotykany, że nad Tybrem rezydują obok siebie, na warunkach od 57 lat nieuregulowanych i odmiennych, dwaj „monarchowie", jeden władający potężnem 40-miljonowem państwem, drugi rozpościerający duchową władzę nad *„ecclesia universa"*.

Drażliwości protokólarne, które na tym gruncie wyrosnąć mogą, stosują się, naturalnie w mniejszej mierze, i do reprezentantów państw, którzy przybywają do Rzymu. Musiały one stanąć i przed ministrem Zaleskim, który przed kilku dniami udał się do Rzymu. Snać jednak uważał on je za łatwe do usunięcia, skoro do swojego orszaku dobrał sobie tylko dwóch towarzyszy, adjutanta marsz. Piłsudskiego i szefa swego sekretarjatu.

Oficjalnym celem podróży p. Zaleskiego była wizyta u Mussoliniego, ale naturalnie musiał on odwiedzić i Watykan, który gra wielką rolę w sprawach polskich.

Co do Mussoliniego, to prasa europejska zajęta jest dociekaniem, o czem mówić będą ministrowie spraw zagran. — Polski i Włoch. Głównym tematem jest chęć rządu polskiego przyłożenia ręki do coraz bardziej realnego zbliżenia

się Francji i Włoch. Sprawa tyrolska ma ułatwić zmianę poglądów włoskich na stosunki polsko - niemieckie. Zgodzenie się Włoch na przedłużenie konwencji *„d'amitié"* z Jugosławją na lat 5 stwarza nową kombinację z Małą Ententą. Chociaż te informacje stoją w sprzeczności z telegramami belgradzkiemi o tworzeniu pod patronatem Włoch bloku bałkańskiego, złożonego z Włoch, Turcji, Bulgarji, Grecji i Rumunji, i mającego na celu „okrążenie Jugosławji". To, że w tym zespole quasi locarneńskim figuruje Rumunja, stawia całą tę kombinację pod znakiem zapytania, zważywszy na niesłychane rozjątrzenie całego narodu rumuńskiego przeciw Włochom za ich namiętne popieranie optantów węgierskich...

O tem wszystkiem ma mówić w Rzymie min. Zaleski. Przytaczamy te głosy tylko *modo informationis.* Tego tylko pewni jesteśmy, że rozmowy dwóch ministrów toczyć się będą nad zbliżeniem Polski i Włoch, któremu dziś sprzyja konjunktura stosunków międzynarodowych.

PO DRUGIM AKCIE.

W Królewcu, w dniu 2 b. m. zapadła nad drugim aktem sprawy polsko - litewskiej zasłona. Pierwszy akt zakończył się notą, przez którą Waldemaras zgodził się na rozpoczęcie rokowań 30 marca. — Drugi akt przyniósł postanowienie natychmiastowego rozpoczęcia rokowań, utworzenie trzech komisyj mieszanych, mających obradować w Warszawie, Kownie i Berlinie i zwołanie 20 b. m. w Berlinie konferencji przewodniczących tych komisyj dla omówienia dalszych prac, oraz wyznaczenia ich terminu. Po za tem min. Zaleski, dla wykazania, że Polska nie żywi żadnych wrogich zamysłów przeciwko Litwie, zaproponował Waldemarasowi zawarcie paktu gwarancyjnego z Litwą. Inna propozycja polska, ażeby rząd litewski uwierzytelnił swego przedstawiciela w Warszawie, stała się bezprzedmiotową wobec absurdalnego oświadczenia Waldemarasa, że pełnomocnika Rzeczypospolitej Polskiej może on przyjąć tylko w Wilnie.

Prawie cała prasa zagraniczna uznała rezultaty konferencji królewieckiej za dodatnie dla Polski i za dowód, że rozumna i cierpliwa polityka Zaleskiego okazała się skuteczną. Parę przykładów: — „Daily Telegraph" stwierdza, że dzięki przymiotom tej polityki — konferencja została „uratowana", a Litwa „zmuszona do odstąpienia od jałowych negocjacyj". Nawet „Manchester Guardian", nie należący do naszych przyjaciół, ostrzega Litwę, żeby nie dała się używać za narzędzie intryg przeciwko Polsce. „Börsen Zeitng" oświadcza, że Waldemaras „dał się zepchnąć na pozycję nieszczęśliwą". „Germania" utrzymuje, że „to, co Waldemaras mówił w Kownie, było szarlatanerją", ale że „gdyby okazał większą ustępliwość Polsce, byłby to ostatni dzień jego dyktatury".

Atoli premjer litewski jest innego zdania. Nieuleczalny bluffista — oświadcza, że z rokowań Litwa wyszła obronną ręką i że „on nie przyjął ani jednego punktu, który by stał w sprzeczności z jego stanowiskiem w sprawie Wilna"!

Cóż będzie dalej?

Na lojalność Waldemarasa w dalszych rokowaniach trudno liczyć. Można tylko przewidywać, że ustąpi przed siłą faktów. Min. Zaleski wypowiedział się już, że w razie trudności dalszych zażąda wydelegowania przedstawiciela Ligi Nar. dla czynnego udziału w rokowaniach. Gdyby i to nie pomogło, nie pozostanie, jak tylko doczekać się sesji czerwcowej Rady Ligi Narodów.

Światosław.

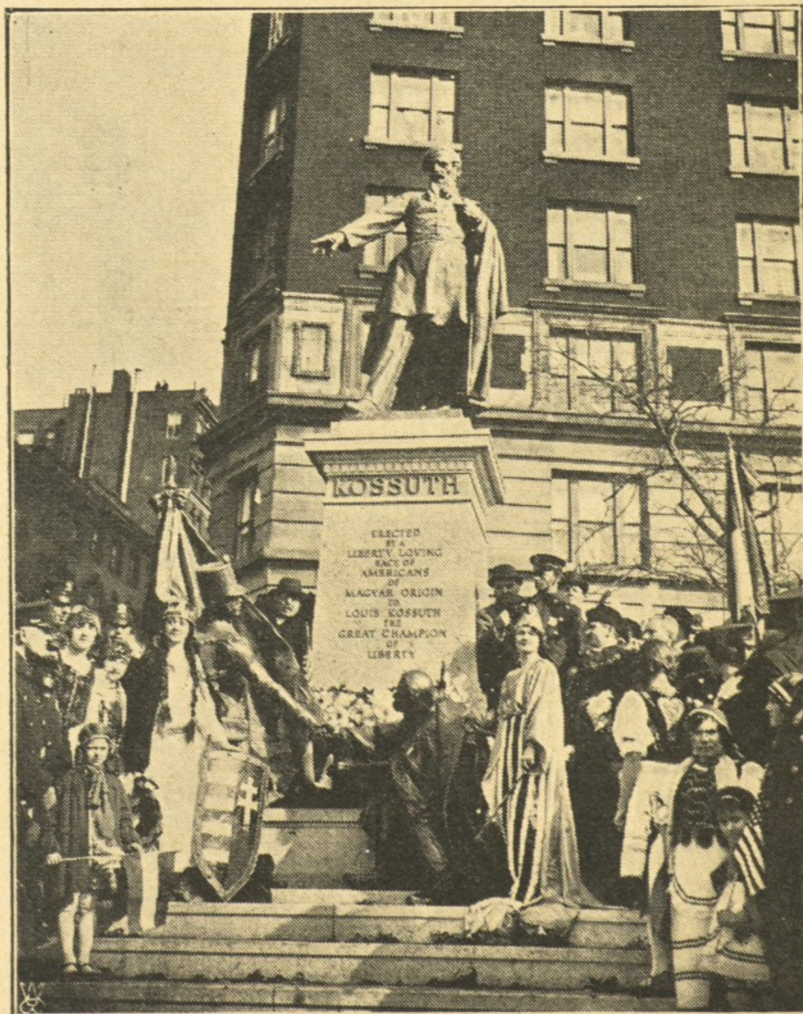
BIBLJOTEKI KRESOWE



Czcząc ś. p. pamięć redaktora „Kurjera Warszawskiego", Konrada Olchowicza, zorganizowano ze składek publicznych bibljoteki, które będą obsługiwały ludność naszych kresów. Ks. Szlagowski uroczyście pobłogosławił zbożne dzieło

Fot. Jan Ryś

WĘGRY — AMERYCE



New-York, pragnąc uczcić udział węgrów w walkach o niepodległość Stanów Zjednoczonych, przyjął pomnik L. Kossutha, znanego patrjoty węgierskiego. Kossuth był wypróbowanym przyjacielem Polski. Węgrzy z racji odsłonięcia tego pomnika urządzili manifestację

Fot. The New-York Times

ECHA Z POZA KURTYNY

II

Na schyłku zeszłego stulecia wśród zacieśnionej atmosfery życia warszawskiego, teatr grał ogromną rolę, budził gorączkowe zajęcie. Pamiętam, że wtedy młodzież gimnazjalna z klas średnich i wyższych dzieliła się na dwa stronnictwa: Wiśniowczyków i Czakistów, popierających dwie młode aktorki.

Zapalny i wrażliwy paradyz szafował oklaskami. Z górnych sfer spadały czasem na scenę małe bukieciki, bo na większą owację kwiatową nie pozwalały skromne uczniowskie fundusze.

Przed czterdziestu paru laty okazywała mi sympatję przez pewien czas koleżanka Marja Wisnowska, która była mi wdzięczną głównie za to, że jako pełnomocnik bawiącego wtedy zagranicą Aleksandra Świętochowskiego, powierzyłem jej w dramacie „Piękna" rolę brzydkiej Ireny, którą grała doskonale, z zaparciem się urody niewieściej i wielką prawdą wyrazu.

Na moją prośbę potem Kazimierz Kaszewski, wielce zasłużony krytyk i tłómacz tragików greckich, ułożył dla Wisnowskiej i dla mnie efektowną fantazję dramatyczną: „Tancerka". Był to fragment dramatu Pietro Cossy „Neron", w całości granego u nas w r. 1868 przez trupę znakomitego tragika Ernesta Rossi'ego po włosku na scenie Teatru Wielkiego. Kaszewski przetłomaczył cały dramat wierszem i drukował swą pracę w „Ateneum". Niepodobna było po polsku wystawić tej sztuki na scenie, albowiem cenzura nie mogła dopuścić, aby imperator rzymski występował w Warszawie jako zbrodniarz, zamordowany przez zbuntowane wojsko.

Kaszewski wykroił z dramatu całostkę piękną i efektowną. Neron występował tu przeobrażony jako przedstawiciel rzymskiego patrycjatu Lucius Domitius. Tłomacz dopisał dla mnie w tej roli pełen polotu dytyramb, który deklamowałem w czasie biesiady z kielichem w ręku na cześć boskiej Afrodyty. Wisnowska grała prześlicznie rolę niewolnicy greckiej Eklogi, pląsała z wdziękiem i lekkością, konała z prawdą, otruta przy stole biesiadnym przez zazdrosną rywalkę Akteę.

Z wybitnem powodzeniem „Tancerkę" graliśmy kilkadziesiąt razy na scenie Teatru Rozmaitości. Po przedstawieniu na prośby matki artystki, która mi okazywała sympatję, odprowadzałem często Wisnowską do domu na ul. Długiej — naprzeciwko dawnej cerkwi. Za nami o kilkadziesiąt kroków kroczyła zwykle gromadka uczniów.

Często wtedy zostawałem na herbacie zaproszony przez artystkę i jej matkę, spędzając parę godzin na przemiłej gawędzie, gdyż Wisnowska obok kokieterji miała dużo w rozmowie inteligencji, sprytu i wytwornej finezji. Gdy za nami zamykała się brama domu, gromadka uczniów odchodziła jak niepyszna. Widocznie się to nie podobało paru bardziej zapalonym wielbicielom aktorki.

Na jednem przedstawieniu „Tancerki" jak zwykle gestem protekcjonalnym rzymskiego magnata brałem Eklogę pod brodę, mówiąc: Tyś mi się dziewczę bardzo podobała!

— Aha, doprawdy... doprawdy... nie może być... — tak mi dogadywali uczniowie z paradyzu podczas widowiska.

Gdy zapadła kurtyna, oklaskiwano nas oboje. Pomimo nawoływań partnerki, nie wyszedłem na scenę.

Gdym wychodził z teatru na ulicę, czekał na mnie jakiś młody chłopiec z trzeciej lub czwartej klasy i zapytał:

— Myśmy bili oklaski, dlaczego pan nie chciał wychodzić?

— Bo ja nie jestem naiwną aktorką—odrzekłem,—nie będę dla oklasków was kokietował. Jeśli podczas widowiska będziecie panowie się odzywać, nie szanując naszej pracy, to my wszyscy poważniejsi aktorowie zmówimy się i nie będziemy na wasze oklaski wychodzić.

Na drugi dzień czekali na mnie przy wyjściu z garderoby dwaj młodzi uczniowie, jako deputacja, przepraszając w imieniu kolegów.

Zabawną przygodę miałem grając rolę dramatycznych amantów. z Henryką Ładnowską o ile pamiętam w 1884 r. Podczas uczuciowej sceny pojednania poety Henryka z jego dawną narzeczoną w „Chatce w lesie" Syrokomli, nagle w sali Teatru Rozmaitości rozległy się śmiechy. Nie stropiło to ani mnie, ani mojej partnerki, skończyliśmy ten epizod sielanki dramatycznej, oklaskiwani po zapadnięciu kurtyny. Przyczyną śmiechów, jak się potem dowiedziałem, był kot, który wyszedł z za kulis na scenę i z tyłu wąchał mi obcasy u butów. Wtenczas utrzymywano w teatrze koty dla postrachu szczurów.

W tydzień potem, grałem na scenie Teatru Wielkiego z Ładnowską w „Zbójcach" Szyllera rolę Karola Moora. W scenie deklamacji ballady o Hektorze znowu rozlegają się śmiechy. Spoglądam bystro na siebie, na aktorkę i widzę, jak znowu kot kręci się po scenie, siada przy budce suflera i po chwili skacze do orkiestry... Po zapadnięciu kurtyny, gdy rozległy się brawa, podaję rękę mojej partnerce chcąc ją wyprowadzić na scenę.

— Nie pójdę, nie pójdę, — wołła zirytowana, — niech kot wyjdzie za mnie. Ja wiem, która mi to zrobiła!...

Gdy pomimo to ukazaliśmy się z Ładnowską przed kurtyną, dziękując za oklaski, kot z orkiestry znowu skoczył na scenę wśród ochoczej wesołości publiki.

Mazurowska, wyborna w swoim rodzaju aktorka charakterystyczno-komiczna, która siedząc na ławeczce za kulisami była świadkiem sceny, rzekła do jednej z sąsiadek:

— To teatralny kot, wychodzi na scenę, gdy czuje romanse!..

Pamiętam także, jak w r. 1884 grałem po raz pierwszy wielką rolę w dramacie Laubego „Hrabia Essex". Po przedstawieniu jako narzeczony udałem się na herbatkę i z ust najdroższej dla mnie kobiety usłyszałem obok słów pochwały lekki wyrzut, że w ostatnim akcie nie byłem dość czuły, żegnając się jako skazany buntownik przed pójściem na szafot z tajemnie poślubioną małżonką lady Rutland. Mówiłem całując oczy partnerki: „całuję te gwiazdy drogie kochane nad wszystko". Istotnie paraliżowała mnie trochę obecność w teatrze mojej niewiasty. Zapamiętałem sobie jej słowa.

Parę miesięcy potem gram tę rolę na scenie dawnego Teatru Wielkiego i w chwili pożegnania jestem bardzo czuły, aby zadowolnić najmilszą dla mnie słuchaczkę... Wtedy moja partnerka zachwycająca w roli lady Rutland ukazując publiczności smutne, zbolałe oblicze, mówi do mnie po koleżeńsku tłumionym szeptem:

— Nie całuj tak, gałganie jeden, nie całuj tak!

Okazało się, że wtedy był w teatrze ktoś jej drogi.

Ten przykład wykazuje jasno, że przeżycia teatralne, że gra ułudy nie idzie w parze z tętnem uczuć osobistych aktora.

Józef Kotarbiński

„NIEWOLNICY SŁOŃCA"

F. A. Ossendowski jest dziś najpopularniejszym pisarzem polskim na świecie. Wszystkie jego książki (a w ciągu lat sześciu napisał ich 22!) wychodzą odrazu w kilku językach europejskich i na wszechświatowym rynku księgarskim są rozchwytywane. Czemuż przypisać ten rozgłos nadzwyczajny? Ossendowski nie odkrył przecież żadnych nowych krajów. Odsunęliśmy się daleko od czasów, gdy na mapach środkowej Afryki np. wypisywano zdanie: „hic sunt leones" (tu są lwy). Dziś, po odkryciach wielkich eksploratorów niedawnej przeszłości, wszystkie ziemie, na których „poraz pierwszy stanęła stopa białego człowieka", podzieliły między siebie państwa Europy i zamieniły na źródła dochodów. Wszystko jest znane, opisywane, obliczone na coraz większe zyski.

Tajemnicę powodzenia Ossendowskiego stanowi jego stosunek do przedmiotu. Ten podróżnik w wielkim stylu, jakiego jeszcze nie mieliśmy, jeździ po najskrytszych zakątkach ziemi, z niesłychanym nakładem trudów, aby się przyjrzeć obliczu *człowieka;* jeździ dla „poznania ludzi, przyrody, nieznanych bogów i wszystkiego tego, co stanowi i co pięknem czyni życie na tej ziemi niezgłębionej tęsknicy i niewypowiedzianej radości". Po świetnych podróżach po Azji, które imię jego wsławiły, — wyruszył Ossendowski z wielką ekspedycją do Afryki podzwrotnikowej, skąd oprócz zbiorów fauny i flory, przywiózł nową, bogatą w treść księgę p. t. „Niewolnicy słońca" (Wydawnictwo polskie, Poznań, 1928).

Organizując swą wyprawę na własny koszt, nie pytał Ossendowski o pozwolenie ani filutów z Ziemiańskiej, ani „uczonych", którzy go wciąż zasypują pytaniami, „skąd czerpie materjał dla swoich spostrzeżeń i wniosków". Wskutek tego—niedocenienie powagi i ważkości jego odważnego przedsięwzięcia. Uczonym, którzy, „siedząc na północy, piszą mądre rzeczy o płomiennem słońcu równika", odpowiada autor spokojnie: „Jedynem źródłem dla moich wniosków jest życie, czyli porywający obraz ruchu, uczuć i myśli, obraz, podziwiany przeze mnie na wszelkich lądach i morzach, a budzący odwagę wypowiadania własnych przekonań bez oglądania się na to, czy one podobają się uczonym". ...Po Stanleyach i innych wielkich podróżnikach dla mnie, literata polskiego, pozostała do badań tylko dziedzina dusz ludzi różnych barw".

Do dusz tych przystępuje Ossendowski bez pośrednictwa wskazań książkowych, ale bada je samodzielnie. W ciągu ośmiu miesięcy ekspedycja jego odbyła drogę przez Gwineę francuską, Sudan francuski, Wysoką Woltę i Wybrzeże Kości słoniowej. Obserwacje nad fauną i florą nie stanowią u Ossendowskiego zasadniczej troski, chociaż nie pomija ich nigdy, podając nawet łacińskie nazwy okazów. Natomiast wewnętrzne życie murzyna zajmuje go nieustannie, zajmuje we wszystkich objawach. Nie wchodząc w pedantyzm „przyczynków" folklorystycznych, Ossendowski — wyławia chętnie wszystko, co rzuca światło na tajemniczą, w gruncie mało znaną, a skomplikowaną i ciekawą duszę czarnego człowieka. W objawach kultu murzynów Ossendowski dostrzega wiele znamion starożytnego kultu Egipcjan i subtelnie uzasadnia analogje. Niektóre wpływy są bardzo wyraziste. Rzeźby i malowidła na łożach i ścianach górali Futo - Dżalon, rysunek barwnych słomianek, misternie wyplecionych z włókien rafji, przypominają wzory egipskie. Ossendowski zdobył przez swe podróże olbrzymią skalę porównań, przy każdej więc sposobności stwierdzić może, iż pełno „ledwie dostrzegalnych znaków znaleść można na historycznym szlaku ludów, sunących od wschodu na zachód". W wierzeniach i legendach murzyńskich



F. A. Ossendowski

przejrzeć się może dusza niejednego mistyka europejskiego. Oto np. wyjaśnienie murzyna o tajemnym pierwiastku „dya": „— Jest ona jak światło gwiazd lub jak zapach kwiatów, co się sączy z ciał ludzi, zwierząt, kamieni, drzew... W tej chwili, gdy mówię do ciebie, czarownik śpi pod strzechą swojej chaty, a ja, jego „dya", zwolniona podczas jego uśpienia, jestem tu, daleko...

— Jesteś duszą czarownika? — spytałem.

— Nie! Dusza przykuta jest do żywego ciała i zrywa swoje więzy tylko wtedy, gdy ciało przestaje żyć...

— Jednak masz rozum, więc musisz posiadać duszę — zauważyłem, myśląc jednocześnie, że nie otrzymam żadnej odpowiedzi. Lecz Diadiri błysnął oczami i dumą się powlokła jego nieruchoma twarz.

— *Dya* — jest tyle, ile widzimy rzeczy na ziemi, ile gwiazd na niebie, ile ziarnek piasku na pustyni, ile kropel wody w morzach i rzekach... Jak ty odróżnisz mnie w tłumie innych ludzi, tak moja *dya* pozna twoją, bo niepodobne są, jak odrębnemi się wydają nasze ciała i nasze myśli. Tu na ziemi możemy się rozumieć... mówimy bowiem różnemi językami, modlimy się nie do tych samych bogów, inne myśli rodzą się w duszach naszych. Lecz, gdy ciała ludzi i przedmiotów wyłonią z siebie „dya", wtedy zaczynają się rozumieć, bo dusza ich jest duszą „nyama" — wielkiej dya, całego świata. To jest rozumem każdej *dya*, przynoszącej człowiekowi ze swych samotnych wędrówek nową i czystą mądrość. Starcy mają jej najwięcej i dlatego są mędrcami... Do „nyama" pogrążają się dusze, zwolnione po śmierci ludzi, z otchłani „nyama" wstępują one do innych ciał..."

Nic dziwnego, że przy zdolności tak subtelnej mistyki, istnieją w zachodniej Afryce murzyńskiej liczne stowarzyszenia tajne, mające wtajemniczonych i adeptów oraz swój własny rytuał obyczajów i misterjów. Jak w europejskich lożach masońskich, wtajemniczeni używają specjalnych strojów rytualnych, składają swoim fetyszom osobne ofiary, posiadają własne totemy, nieraz stosują jednakowe tatuowanie.

Murzyn w opowieści Ossendowskiego jest człowiekiem dobrym, ufnym, pełnym wierzeń wszelakich, pracowitym i ciężko walczącym z przyrodą. Jego filozofja życiowa, zamknięta w przysłowiach, różni się tylko formą osobliwą od przeciętnej filozofji europejskiej „ma-

Z WYSTAWY ARTYSTÓW PLASTYKÓW

W lokalu Związku zawodowego artystów plastyków (Marszałkowska 69) otwarto niedawno wystawę akwarel art.-mal. Xawerego Koźmińskiego, od lat 3 stale mieszkającego w Paryżu. Śród akwarel tych zwracają między innemi uwagę wybornie podchwycone typy paryskie oraz utwory fantastyczne, przypominające Dulac'a.



„W okopie"



„Bajka"

drości narodów". Oto np. kilka przysłów, wyłowionych z księgi Ossendowskiego: „To co u jednych wzbudza śmiech, drugim wyciska łzy". Nikt nie widzi łzy nawet najlepszego przyjaciela podczas ulewy". „Każdy najlepiej zna robactwo swego posłania". „Nie wszystkie piękne miejscowości są dobre na rolę". „Co się mówi nad martwym lwem, nie mówi się tego w oczy żywemu". „Trudno namawiać trędowatego na kupno pierścienia". „Chociaż jeździsz dobrze konno, nie staraj się jednak wsiadać koniowi na pysk". „Gdy małpa nie potrafi dosięgnąć ręką dojrzałego banana, mówi, że jest kwaśny".

Stosunek swój do zwierząt murzyn wypowiada w całym szeregu pięknych legend i podań, których Ossendowski przytacza dość znaczną ilość. Są wśród nich bardzo znamienne. Szympansy np. mogą — według murzynów — władać ludzką mową, lecz ukrywają to w obawie, że ludzie zmuszą ich do pracy, jako niewolników...

Treść tej legendy wiąże się ze sprawą stosunku białych do murzynów. Ossendowski zajmuje się w swej książce tą sprawą przy każdej sposobności. Anglicy w swych kolonjach narzucają tubylcom własne prawa i sankcje moralne. Francuzi starają się szanować miejscowe prawa obyczajowe. Ossendowski jest zwolennikiem systemu francuskiego, o którym pisze z wielkiem uznaniem. Z kolonizacji dokonywanej przez rasy białe przewiduje on wyniki dobre. „Zapewniają one całej ludzkości coraz lepsze i bardziej sprawiedliwe formy istnienia i przyłączają wszystkie rasy i szczepy do wspólnej, wielkiej rodziny ludzkiej, dążącej, być może, do celu, tymczasem nie wytkniętego jeszcze z powodu różnicy chwilowych interesów poszczególnych ludów, lecz wielkiego i, miejmy nadzieję, — świetlanego". W Afryce zachodniej znalazł Ossendowski takie systemy kolonizacji francuskiej: w Senegalu — przymusowa nauka europejska i uspołecznienie tubylców; w Gwinei — poszanowanie tradycyj murzyńskich i pomoc dawana im w walce z naturą; w Sudanie — olbrzymi wysiłek białej rasy; w Wysokiej Wolcie — przymus do pracy dla dobrobytu ludzkości.

Księgę Ossendowskiego czyta się jak zajmującą, barwną powieść. — Materjał naukowy, przeplatany ślicznemi podaniami i powieściami murzyńskiemi, nabiera specjalnego wyrazu i interesu. Żałować tylko należy, że wydawca poskąpił ilustracyj, bo przecież Ossendowski przywiózł z Afryki przebogaty materjał fotograficzny. Nie podano nam np. wizerunku fetysza, *kponintana*, demona ścigającego złodziejów, plotkarzy i oszczerców. „Pewien biały człowiek — mówi autor — chciał przywieść do Europy chociaż jeden taki fetysz, lecz mądrzy Lobi powiedzieli mu, że śród białych ludzi, starożytny, czerwony w białe centki Kponintan zmarniałby od nadmiaru pracy"...

Szkoda!...

J. L.

TAJEMNICZA MALIGNA...

(„Iwan Moskwa" Borysa Pilniaka. „Powrót Buddy" Wsiewołoda Iwanowa, „Pierwsza miłość" P. Romanowa, „41" Borysa Ławreniewa).

Zaczęło się to od protestu przeciw wojnie. Wmawiano w szerokie masy, że wyższe, humanitarne pobudki winny przemówić do ludzkości. Dosyć rozlewu krwi, dosyć nędzy i upodlenia. Na lep tych frazesów poszły ciemne, głodujące masy: rozwalono mocarstwowe, ustrojowe podstawy państwa, zburzono ostoje porządku społecznego. Czy zawitał raj na ziemi? Czy człowiek stał się dla człowieka bratem?

Wiemy z doświadczenia, że dopiero wtedy obudziło się na dobre zwierzę ludzkie. Kto przeżył te lata na wygnaniu w Rosji — nie zapomni nigdy potwornych, dzikich, niepotrzebnych scen krwawego terroru, pomiatania życiem ludzkiem, bezprawia i nędzy, o jakiej nie miało się pojęcia. Rzeczywistość ta koszmarna, widmowa, komunistyczna pod piórem beletrystów rosyjskich ukazuje się znów jako rzetelny dokument tego raju na ziemi, jaki miał nastąpić po przewrocie Leninowskim. Bezstronny obserwator zapewne dojrzałby wiele więcej egzotyczno - dzikich potworności z tych czasów. Wystarczy jednak świadectwo pisarzy rosyjskich, by przerazić, ostudzić z marzeń głowy łatwo podlegające durowi społeczno - reformatorskiemu. Cóż osiągnięto?

Oto krótka opowieść Borysa Ławreniewa „o prostej rzeczy". Oficer kontrwywiadu białego pochwycił przewodniczącego — gubernialnej „Czeki" Orłowa. Jegomość ten ukrywał się pod przybranem nazwiskiem francuza Leona Couturié. Stoją naprzeciw siebie dwaj rosjanie. Ileż nienawiści jest w tych ludziach. Kto zaraził ich serca i umysły tą wstrętną maligną? Sen o uszczęśliwieniu Rosji. Uszczęśliwiają ją też na swój sposób.

„Igiełki pod paznokietki, ołów w nozdrza" — oto niezawodna metoda. Tą samą wypróbowaną szkołą posługuje się i prosty żołnierz czy krasnoarmiejec. Opowiadanie pod tytułem „41" jest właśnie tego rodzaju dokumentem. Ileż egzotyki dzikiej, niespodziewanej mieści się w sercu Maruszki. Pilnuje ona oficera Goworucha - Otroka, bo otrzymała taki rozkaz od swojej władzy. Mógł on porzucić ją, mogła ona nie doglądać go podczas choroby. Starannie pielęgnowała go. Strzeliła mu w głowę przy pierwszej okazji, gdy ukazali się ludzie. Dzikie instynkty nie opanowała nawet miłość. Marutka kochała przecież tego oficera. Czyż to był rezultat propagandy humanitaryzmu? Komuniści hasłem tem zatruwali Europę przez pierwszych kilka lat powojennych. A może nakarmili głodnych, odziali nagich?

Wsiewołod Iwanow w powieści „Powrót Buddy" opisuje takie sceny głodu, braku odzienia, że... zdziczenie obyczajów już przestaje razić. Kimże się stał z nędzy profesor Safonow, jadąc w wagonie z posągiem Buddy na rozkaz petersburskiego sowietu? Jego stosunek do ludzi, do świata, do samego siebie uległ gruntownej przemianie. Ten kulturalny ongiś człowiek rządzi się teraz prawami bezdomnego psa lub kota. Czemu? Patrzy, jak „z przekleństwami chłopi kopią płytkie do pasa mogiły, zwalają w nie trupy, udeptując, by się więcej zmieściło. Na wiosnę trupy odmarzają, puchną, pękają i prą z mogił. Cuchnie ziemia na dalekiej przestrzeni i chyba dlatego oracz nie wychodzi na niwy".

Obok tych koszmarnych wizji wyrasta nam przed oczami i świata z innej, dziwnej planety. Iwanow pokazuje nam starowierów, mieszkających na „Zbiegłej wyspie" wśród lasów Tobolskich. Tych zatrzymanych w rozwoju duchowym od stuleci ludzi chciano uszczęśliwić ustrojem komunistycznym. Wystarczy przejrzeć kilka kartek, by zrozumieć koszmarność ludzkich zamierzeń. Zkąd do tych ludzi, żyjących w pierwotności, przesądzie, nie znających wielkich miast ani stosunków kapitalistycznych ideje o niesprawiedliwym podziale bogactw? Życie sprowadza się na „Zbiegłej wyspie" do elementarnych funkcji i modlitwy. Gorzej jest wśród Zyrian. Pokazuje nam ich obyczaje Borys Pilniak w powieści p. t. „Iwan Moskwa". Podatki płacono tu od ilości psów i strzelb. Kości mamuta uważa się tu za „mu — nian", — chleb ziemi — środek leczniczy, świętość, — i Permiacy zbierają się całemi wsiami, żeby jeść kości mamuta". „Myśliwi rozkopują tu groby dzieci, odgryzają (konieczne zębami) rękę dziecka i —suszą ją; suszoną rękę noszą przy sobie myśliwi i element rozbójniczy".



Pilniak nie jest satyrykiem obyczajów. Życie Syrjan znajduje w nim nawet poetę. Przychodzi do niego uzbrojony w zdobycze wiedzy współczesnej. Wie, czem jest rad, uran, tor. Pierwotność kojarzy z pracą robotników, inżynierów wydobywających z kopalni Uralskich drogocenne chemiczne przetwory. I dlatego tak widmowym, tak upiornym jest świat jego wizji. Idzie on nad przepaścią maligny czy obłędu. Nie wie, że porucznik Sobolewskij, białogwardziejec z opowiadania Ławreniewa, już znalazł receptę na patologję mózgu rosyjskiego. Bohater ten mówi:

„Lekarze będą wycinać tę część mózgu, gdzie gnieździ się duch protestu — rewolucja".

Po co? Bo „tajemnicza maligna" psychiki rosyjskiej sprzykrzyła się nawet rosjanom. Wyznaje to bez osłonek Pantelejmon Romanow. — Czasy fizjologji i tylko fizjologji duszy ludzkiej pozostawiły na wielu młodych pisarzach ślad przykry. Wołają oni o odrodzenie życia przez stare, dawne obyczaje. Dotyczy to w pierwszym rzędzie życia uczuciowego. Młodzież rosyjska w lata rewolucji sprowadziła sobie wszystkie zagadnienia uczucia do faktu fizjologicznego. Jego tom opowiadań „Pierwsza miłość" obwieszcza ukazanie się na horyzoncie życia możliwości innych, dawnych, kiedy mężczyzna cenił w kobiecie czystość obyczajów.

Z maligny snów groźnych, upiornych, dzikich z trudem, po latach udręk, po ofiarach dotkliwych i bezpowrotnych dusza rosyjska wraca do jakich takich zasad ładu, równowagi, moralności. Gdzie panuje tylko prawo gwałtu, nie może istnieć kultura. Komuniści usiłowali hasłami swemi zmylić, oszukać Europę. Prawda wyrosła poza ich wolą. Mówią nam ją pisarze rosyjscy i ostrzegają przed tą metodą pojmowania życia.

Stwierdzenie to jest tem cenniejsze, bo wynika z pism autorów bolszewickiej Rosji.

F.

WYSTAWA LASZENKI W POZNANIU



Opowiadania pielgrzymów



Meczet Abd-er-Rahmane



Pierwszy podmuch chamsinu

Dom podmiejski w Kalifornji z garażem. Połączenie dawnej architektury z potrzebami nowoczesnemi.

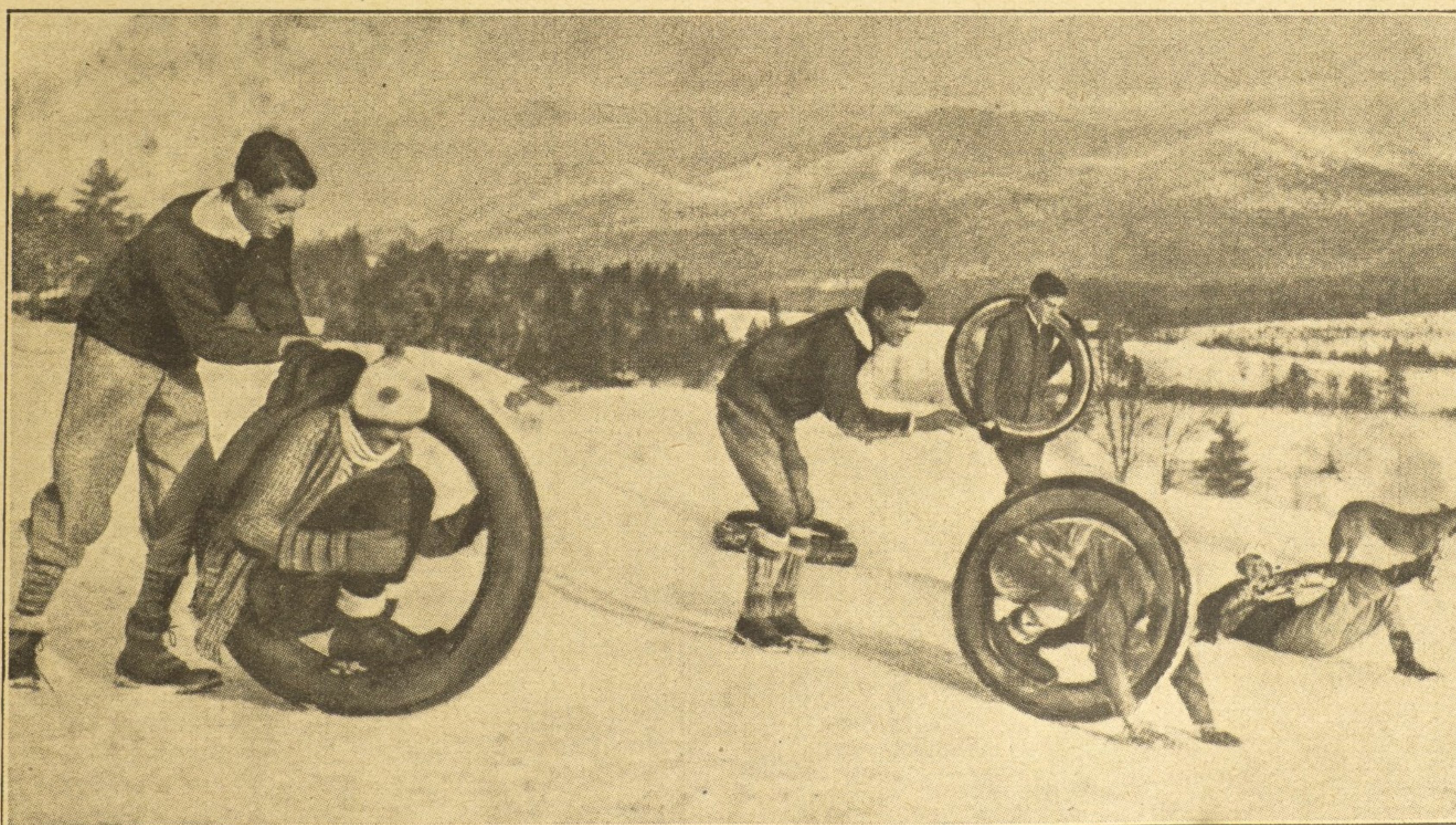


Król Amanulach w Anglji. Potwory czołgowe wzbudziły w monarszę azjatyckim wielkie zainteresowanie



Jak się odbywać będzie obecnie w Saharze polowanie na strusie

(L'Illustration)



Nowe zabawy sportowe w sezonie zimowym w St. Moritz



Doris Dawson (Hollywood)



W gabinecie dyrektora kabaretu



Strój z piór strusich



Sally O'Neill (Hollywood)

Z POZNANIA

Pierwszorzędnym ewenementem życia kulturalnego stolicy wielkopolskiej było otwarcie wystawy obrazów wybitnego artysty - malarza polskiego, Aleksandra Laszenki.

Laszenko, bardziej znany zagranicą, aniżeli w Polsce, należy do nielicznej grupy malarzy - orjentalistów. Działalność swą Laszenko poświęcił wyłącznie egzotycznemu pięknu i na tem polu godnie reprezentuje polską sztukę orjentalistyczną, którą na wysokie wyżyny wznieśli tacy mocarze pendzla, jak Stanisław Chlebowski, Stefan Bakałowicz, Tadeusz Ajdukiewicz, Jan Ciągliński, z ostatnich zaś Wacław Pawliszak i Adam Styka.

Aleksander Laszenko był uczniem prof. Wołkowa, a następnie dłuższy czas pracował u Dubowskiego i Makowskiego w Petersburskiej Akademji Sztuk Pięknych, po której ukończeniu studjował jeszcze jakiś czas u sławnego Ilji Repina. Ze Wschodem zetknął się bliżej w czasie wojny rosyjsko - japońskiej i od tej niemal chwili poświęcił się wyłącznie tematom egzotycznym. Tajemniczość ludzi, jak i krajów Wschodu wywarły na wrażliwej duszy malarskiej potężne wrażenie i bezpośrednio po zakończeniu wojny rosyjsko - japońskiej udaje się Laszenko po raz pierwszy do Egiptu. Tutaj pracuje nietylko jako malarz, ale również naukowo pod kierunkiem angielskiego uczonego prof. Newfelda. Egipt poznaje, jak mało kto w Polsce, ponadto zwiedza całą Afrykę północną, tajemniczą Saharę, półwysep arabski. W Egipcie przebywa aż do roku 1914, a owocem jego działalności w Egipcie — w pustyni Nubijskiej, na Saharze w oazie Kharga, są liczne dzieła, któremi obsyła wystawy zagraniczne, gdzie spotykają się z ogólnem uznaniem krytyki, w następstwie czego Laszenko należy do najpopularniejszych malarzy orjentalistów.

Pod względem artystycznym dzieła Laszenki stoją na wysokim poziomie. Widać, że to artysta znający doskonale swój fach, uważający zarówno na poprawny rysunek, jak i na efekty kolorystyczne. Umiejętne operowanie barwą uderza na pierwszy rzut oka z każdej pracy Laszenki. Problem światła i barwy jest głównem założeniem pracy Laszenki, to też dzieła jego mają tę tajemniczą moc przykuwania uwagi widza. Do takich w pierwszym rzędzie należy „Biały szlak", „Pierwszy podmuch Chamsinu", „Z dobytkiem do nowej siedziby", „Kolosy Memnona", i t. d. Również i w scenach rodzajowych, jak „Targ w Embabêh", „Opowiadanie pielgrzymów" i in., znać lwi pazur wybitnego malarza.

Jakkolwiek Laszenko należy do plejady poważnych malarzy polskich, nie uważa on, że w twórczości swej całkowicie się już wypowiedział, pracuje on w dalszym ciągu nad swym rozwojem i niewątpliwie przy swych zdolnościach Laszenko będzie jedną z pierwszych gwiazd na polskim firmamencie malarskim.

Zaznaczyć należy, że po wielkiej wojnie Laszenko corocznie udaje się na kilkumiesięczny pobyt do Afryki, skąd wraca z pełną teką nowych prac.

* * *

Dla uczczenia setnej rocznicy urodzin Ibsena Teatr Polski w Poznaniu wystawił „Rosmersholm" w reżyserji Wysockiej. Znakomita artystka dała do pewnego stopnia rekonstrukcję stylu Ibsenowskiego z ostatniego dziesiątka XIX wieku. O ile pod względem aktorskim nie można nic zarzucić, przeciwnie, trzeba być z pełnym szacunkiem dla gry pp. Wysockiej w roli Rebeki West, Sachnowskiego w roli p. Helseth i p. Brylińskiego jako rektora Krola, o tyle wystawienie dekoracyjne miało wszelkie cechy prowincji. „Stara pańska siedziba Rosmersholm" przypominała raczej wnętrze salonu w zapadłej prowincji, upstrzonego portretami antenatów. Brak właściwej oprawy scenicznej ujemnie oddziałał na całość, mimo wysiłków zespołu artystycznego. W każdym razie wystawienie „Rosmersholmu" zaliczyć należy do plusów dyrekcji tego teatru. Przedstawienie poprzedziło słowo wstępne kierownika literackiego, Emila Zegadłowicza.

Do bardzo udatnych przedstawień naszej Opery należała premjera opery Karola Webera „Wolny Strzelec". Pod umiejętną ręką dyrektora Stermicza i reżysera Zaleskiego, całość wypadła znakomicie, zwłaszcza, że na premjerze cały zespół operowy był w doskonałem usposobieniu. Na pierwsze miejsce wysunął się przedewszystkiem p. Bedlewicz, jako Maks, p. Lubicz w roli Agaty, jak również p. Fontanówna w roli Anny. P. Zaleski z małej rólki księcia stworzył istne arcydzieło aktorskie i śpiewackie.

Debjut p. Haliny Dudiczówny, uczenicy znakomitej Heleny Ruszkowskiej - Zboińskiej, w operetce Lehara „Paganini" udał się w całej pełni. P. Dudiczówna wykazała wybitny talent sceniczny, umiejętne wyzyskiwanie głosu, pełnego lirycznego ciepła. Gdy się uwzględni wielką muzykalność, dobrą dykcję, jak również i zewnętrzne warunki, p. Dudiczówna może być w przyszłości cennym nabytkiem nawet opery stołecznej.

Poznań. *W. S.*

REPREZENTACJA BEZPARTYJNEGO BLOKU W SEJMIE



Ks. Eustachy Sapieha, znany ziemianin i działacz społeczny, b. minister i poseł pełnomocny w Londynie, przeszedł z listy Nr. 1 do Sejmu.

Wolne miasto Gdańsk

Ogół obywateli polskich niedostatecznie interesuje się sprawami wolnego miasta Gdańska. Często przez prasę przewijają się teraz wiadomości, dotyczące sporów między naszą władzą a uroszczeniami senatu tego miasta. Telegramy z posiedzeń Ligi Narodów przynoszą również liczne informacje. Wszystkie te notaty ukazują się luźno; by powiązać je z istotnym stosunkiem Gdańska do Polski, trzeba sięgnąć do traktatu wersalskiego, do publikacji historycznych, kulturalnych, ekonomicznych. Wymaga to specjalnego trudu. Z tej racji powstała pod redakcją prof. dr. Stanisława Kutrzeby praca zbiorowa, obejmująca takie działy:

Geograficzny Krajobraz terytorjum Wolnego Miasta (Stanisław Pawłowski).

„Pradzieje" (J. Kostrzewski),

„Historja Gdańska do roku 1793" — (R. Lutman),

„Handel i przemysł do roku 1793" — (St. Kutrzeba),

„Historja Gdańska w latach 1793 — 1918" (R. Lutman).

Teraźniejsze stosunki ujmują rozprawy:

„Wolne miasto pod względem prawnym" (St. Kutrzeba),

„Wolne miasto pod względem politycznym",

„Życie gospodarcze Wolnego Miasta Gdańska" (A. Siebeneichen).

Następnie poświęcono sztuce i literaturze gdańskiej wyczerpujące, informacyjne studja:

M. Gumowskiego — „Herb i pieczęcie" i „Monety i medale",

Ks. T. Konarzewskiego „Sztuka i przemysł artystyczny", oraz

T. Grabowskiego: — „Literatura Gdańska i o Gdańsku". Zakończenie napisał ś. p. Stanisław Przybyszewski, twórca gimnazjum polskiego w Gdańsku i założyciel bibljoteki.

Wiemy wszyscy, iż mieszkańcy Gdańska przez ostatnie lat sto odbyli ewolucję ideologiczną, niekorzystną dla swoich interesów. Wielu z nich sprusiało, choć nazwiska noszą stare, polskie. Cóż mówią fakty po kilku latach nowego współżycia? P. A. Siebeneichen podaje tablicę statystyczną ruchu w porcie gdańskim. Jest to objektywny sprawdzian, czem jest Polska dla tego miasta. Za czasów pruskich z portu tego wywieziono zaledwie miljon tonn towarów, — wwieziono również tyle. Dotyczy to 1912 roku. Statystyka z 1926 r. podaje cyfry: wwieziono trzy i pół miljona tonn, a wywieziono 7 miljonów. Czyż potrzebne są argumenty? Ktoby przypuszczał, że pod panowaniem pruskiem Gdańsk kulturalnie rozwijał się, otrzyma odpowiedź przeczącą. Ks. Tadeusz Krzeczyński w studjum swojem „Sztuka i przemysł artystyczny" pisze:

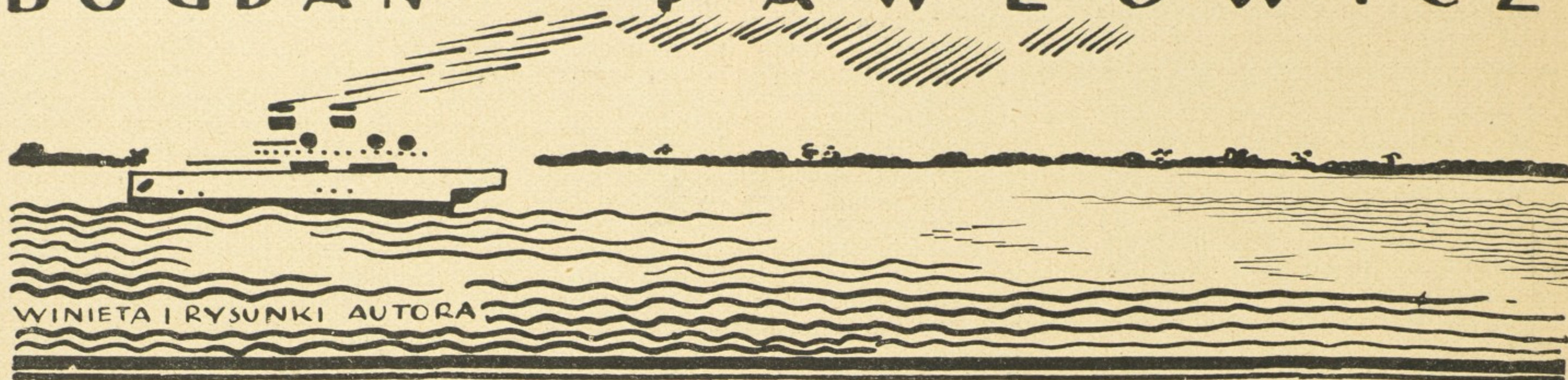
„W XVIII w. z upadkiem Polski zubożał Gdańsk. Nowych domów już nie stawiano. Budownictwo gdańskie nie zdobyło się już więcej na twórczość, a w nowych stylach objawiły się zachowane pozostałości świetnego gdańskiego bujnego baroku".

Dotyczy to malarstwa, sztuki, literatury, nauk.

Wymowa faktów winna przekonać opornych, sfanatyzowanych gdańszczan. Nikt z nas przecież nie czyha na ich język, wiarę. Tolerancyjność polska w stosunku do Gdańska posiada długowiekową tradycję. *F.*

NA AMAZONCE.

BOGDAN PAWŁOWICZ



Parowiec pocztowy Amazonas Staem Company: „Yapure", wypłynął nakoniec z szerokich wód Ucayali na niemniej szerokie, mętne i żółte, po niedawnej styczniowej powodzi, wody Amazonki, zwanej tutaj Maranonem. Parowiec szedł wolno i ostrożnie, lawirując pomiędzy płynącemi kłodami drzew, wymijając kłębowiska nieprawdopodobnie poplątanych, potężnych gałęzi, niesionych przez spienioną wodę, stawając i cofając się kilkanaście razy na dzień. Szerokie, zasobne w wodę koryto królowej rzek przecinaliśmy ustawicznie na ukos, płynąc nieregularnym zygzakiem. Częstokroć „Yapure" płynął tak blizko brzegu, iż można było zapuszczać wzrok w tajemnicze gąszcze ciemnych Selwasów... Drażniąca woń kwitnących i gnijących roślin napełniała nozdrza, a oczy gubiły się wśród labiryntu poplątanych koron drzew, sieci ljan i zatrzymywały się u stóp nieprzeniknionej ściany gęstego podszycia. Spróchniałe pnie zatopionych drzew i pokraczne, pokrzywione korzenie mangrowe wyrastały z wody nieprzerwanym tłumem. Tu i owdzie storczyk odcinał się krwawo-czerwoną, fijoletową lub żółtą, barwną plamą od zielono - rdzawo - szarego tła. — To znów wypływaliśmy na środek żółtej rzeki, a falisto zarysowane brzegi stawały się jeno ciemnemi, oddalonemi pasmami zieleni. Ponad linją puszczy wystrzelały tu i owdzie rozłczyste pióropusze palm, osadzone na wysmukłym, długim maszcie pnia. Miejscami parowiec wpływał w boczne, wązkie koryta i przesuwał się, jakby cichaczem, pośród nieregularnych wysp i wysepek, zarośniętych przez puszczę. — Zdawało się wtedy, że lada chwila statek wpłynie pod zielony tunel pochylonych nad wodą lasów. Różnokolorowe papużki ruchliwym tłumem, ledwo widoczne na tle liści, wyskrzekiwały ku nam swoje wrzaskliwe pozdrowienia, a sfory brunatnych małpek, maleńkich i zgrabnych, wytrzeszczały zadziwione oczy, drapiąc się przytem beztroskliwie a komicznie. Stada czerwono - zielonych papug „Arara", za zbliżeniem się „Yapure", zrywały się do lotu przerażone chałasem, wydawanym przez koła maszyny, a ich purpurowe upierzenie krwawo odbijało się od jasnego błękitu nieba. Ogłuszający krzyk tych ptaków napełniał powietrze nagłym rozgwarem i ginął powoli w przestrzeni.

Upał był srogi, a parne powietrze zmuszało nas do leniwego wylegiwania się na leżakach pod białem płótnem spardecku. Wypijaliśmy niezliczone ilości lemoniad, oranżad i przyrządzanych znakomicie na sztucznym lodzie coctailów. Nieskazitelnie biało ubrani czarni stewarci przesuwali się po pokładzie cicho, roznosząc usłużnie zbawcze „refreskos".

Towarzystwo było bardzo mieszane. Najwięcej miejsca zajmował i najgłośniej perorował mr. Starling, chudy i wysoki anglik, o blado niebieskich oczach bez wyrazu, jeden z potentatów Amazonas Staem Company, odbywający podróż dla przyjemności i powracający ostatecznie do swej mglistej ojczyzny. — Był to stosunkowo młody człowiek, lecz nadmierne użycie poryło jego twarz w głębokie bruzdy i zmarszczki. Obok bogatego syna Albionu ustawiała zazwyczaj swój leżak senorita Barro da Silwa Costa de Maranhion. Pani ta, umalowana i uszminkowana, o przebiegłych oczach nieszczerych a słodkich niby trzcinowy cukier, wdzięczyła się do anglika całą swą obfitych kształtów postacią, na resztę towarzystwa nie zwracając uwagi. Nadwyraz tem dotknięty zdawał się być senhor Affonso Braga o nieokreślonym wieku i również nieokreślonej conduicie.



Na uboczu się trzymał, nie wdając się w ożywione często dysputy towarzystwa, dwudziestoparoletni młodzieniec o zgrabnej i proporcjonalnej postawie i ciemnobrunatnej, rasowej twarzy dwunastoletniego dziecka. Z pod czarnej czupryny wyglądało wysokie gładkie czoło; prosty, zgrabny nos łączył się harmonijnie z całością, a duże, brunatno - złote oczy patrzyły to z łobuzerską wesołością, to z melancholijnym wyrazem gazelli. Nikt z pośród nas nie umiał nawiązać rozmowy z milczącym młodzieńcem. Jedna jedyna sześcioletnia Irasema, córka peruwiańskiego plantatora z Saroyaku, wiozącego liczną rodzinę do Europy, zdołała swym szczebiotem i ciemną, roześmianą, okrągłą buzią wywołać skąpe zdania z ust, miłego skądinąd, mruka. Yracema była ulubienicą całego statku, a czekoladowy kapitan, czarna załoga i biali pasażerowie słali jej na wyścigi przymilne uśmiechy i pozwalali na wszystkie wybryki. Żółto - cytrynowa, wynędzniała, wyniszczona febrą matka Yrasemy spoglądała ku nam z pod powiek ciężkich i chorobliwie fijoletowych z bladym uśmiechem wdzięczności na ustach. Bawiliśmy się z dziewczynką w chałaśliwe zabawy lub prowadziliśmy nieskończenie długie rozmowy na

temat: dlaczego niebo jest niebieskie? — albo — dlaczego woda w rzece płynie tylko w jedną stronę?

„Yapure" na swym pokładzie wiózł jeszcze dwóch braci Carruntas, bliźniaków, młodych kupców portugalskich z Lizbony. Okrągłe ich, tłuste oblicza nacechowane były zawsze niezwykłą tajemniczością, a każdą myśl wypowiadali zduszonym głosem lub szeptem, mrugając porozumiewawczo i wielce znacząco.

Obok mego leżaka ustawiała swój mademoiselle Yvonne, drobna, wiotka, czarnowłosa i żywa, niby ogień, francuzeczka.

— Proszę pani! — mawiała ona często do mnie — jakże się cieszę, że panią poznałam, bez pani byłoby ogromnie smutno podróżować po tym strasznym kraju!

Yvonne wracała od narzeczonego, który w głębokich puszczach, jako inżynier - miernik, wytykał granice obszarów jakiejś nowej eksploatacyjnej spółki kauczukowej. Dzielna ta dziewczyna zjednała sobie moje serce szybko i całkowicie.

Zdaje się, że najbardziej egzotycznym człowiekiem na statku byłam ja, jako polka z dalekiego a chłodnego kraju.

Pewnego dnia leżeliśmy, jak zwykle, na swych leżakach i rozmawialiśmy o tem i owem. Nakoniec rozmowa zeszła na temat oglądanych przez nas cudów przyrody.

— Cóżby to był za wspaniały kraj! — rzekł mr. Starling, pykając lekceważąco ze swej fajeczki — gdyby był w rękach angielskich! A tak króluje tu tylko dzicz i zwierzyna, malarja i moskity!

Peruwiańczycy, brazyljanie i portugalczycy poruszyli się zlekka na swych leżakach, lecz żaden nie odpowiedział. Zapanowało chwilowe milczenie. Po chwili dopiero od balustrady, przy której stał młody mruk, ozwał się dźwięczny, szyderczy głos:

— Pobudowalibyście tamy i fabryki, wymordowalibyście indjan i dzikie zwierzęta. Znikłyby lasy kauczukowe i nieprzebyte knieje, a na każdym zakręcie Amazonki stałby szynk, gdzie za tanie pieniądze można dostać whiski, którą rozpajalibyście tuziemców do utraty resztek rozumu!

Zdziwieni spojrzeliśmy na młodego człowieka. Pierwszy raz od chwili, gdy wstąpił na pokład statku, tyle słów wybiegło z jego ust.

Porywcza francuzeczka radośnie klasnęła w ręce.

— Doprawdy! — zawołała rozbawiona—świetnie pan to powiedział! — i ciemnolica twarz obrońcy indjan pociemniała jeszcze bardziej.



— Jestem młody — rzekł, — ale poznałem dostatecznie angielską cywilizację i angielską zachłanność. Widziałem ich w kraju rodzinnym i w innych kolonjach. Byłem w Londynie, Irlandji, i Angielskiej Gujanie, gdzie mój wuj ma plantacje trzciny cukrowej, a dokąd jadę. Nienawidzę ich!

— Powinien też pan Starling kazać pana aresztować w Guyanie — ozwała się słodko Marja Barro da Silva Costa Maranhao. — Anglik wzruszył ramionami.

— Anglja jest zbyt wielka i nazbyt silna, abyśmy chcieli zajmować się tego rodzaju panami!

— Affonso Braga i portugalczycy roześmieli się drwiąco, a mała Iracema zaczęła szczebiotać:

— Co to jest Anglja, mamusiu, co to jest? — wołała, przymilając się.

— To jest największa potęga świata — rzekł z powagą Starling i dodał — i najbardziej cywilizowane państwo na kuli ziemskiej.

Wszyscy umilkli. Po raz drugi zapanowało przykre milczenie. Po raz drugi Yvonne wstała nerwowo i zwracając się do mnie, rzekła:

— Ma chere, może się przejdziemy?

— Chętnie — odparłam.

Podeszłyśmy do burty. Nasz mruk stał z rękami w kieszeniach, ponuro spoglądając na mętne fale Amazonki. Francuzkę korciło, — więc westchnąwszy, rzuciła odwieczne pytanie podróżnych:

— Pan jedzie do Guyany?

— Si! — odparł krótko zagadnięty i spojrzał bystro na zaciekawioną buzię Yvonne. — W oczach zamigotały mu łobuzerskie błyski.

— I dalej — dodał wesoło.

Yvonne pałała z ciekawości.

— Dalej?

—Naokoło świata, a w końcu do Indji.

— Pan mieszka w Indjach?

— Jestem Indusem!

Yvonne była w siódmem niebie i przypuściła istny szturm do lakonicznego chłopca.

— I mówi pan tak dobrze po hiszpańsku? — wołała, załamując ręce — może pan umie i po francusku?

— Umiem!

— Napewno pan jest Maharadża, prawda? — Indus roześmiał się.

— Nie — zaprzeczył — ale tak coś koło tego. W każdym razie mogę panią zapewnić, że nie dzikiem, pociągowem bydlęciem w rękach angielskich.

Rozmowa potoczyła się już gładko, młodzieniec raczył zwrócić uwagę nawet na mnie.

— Pani jest polką. Bardzo lubię polaków, choć ich nie znam. Czytałem o nich dużo. Na naszym uniwersytecie w Kalkucie było nawet koło polonistów, studjujących polską historję.

Tym krótkim zwrotem byłam szczerze ujętą i odtąd stanowiliśmy na pokładzie „Yapure" nierozłączną trójcę. Mr. Starling i Maria Barro spoglądali na nas szyderczo, a pewnego razu anglik rzucił przez zęby, gdyśmy przechodzili obok ich leżaków:

— Te panie coś zabardzo lubią kolorowych!

— Idjot! — mruknęła wzamian Yvonne.

Minąwszy potężne dopływy Jawary, Jatahy, Jarua, Perusi i Madery, zawijając po drodze do portów małych osad: Yquitos, Loreto, Calderon, Araras, Manacapuru, — przekroczywszy granicę peruwiańsko - brazylijską przy dopływie Yawary, nasz „Yapure" płynął już jakby po morzu. Amazonka rozlała się szeroko na dwa z górą kilometry, a wzrok daremnie błądził, szukając oparcia. Zbliżaliśmy się powoli do ujścia potężnego Rio Negro. Parowiec zatrzymał się w porcie miasta Manaos. Tu ujrzeliśmy po raz pierwszy od wielu, wielu dni miasto cywilizowane z jego gmachami, wystawami sklepowemi, brukami, chodnikami i parkami. — Obie z Yvonne jeździłyśmy obdrapanym „Fordem" po szerokich eleganckich, wygodnych ulicach Manaos.

— Wie pani! — zwierzała mi się francuzeczka — mimo wszystko wolałabym już tu żyć, niż tam w lasach, gdzie się tuła mój biedny Jan.

(Dok. nast.)



Farsa, akt III. (Mąż zarówno żonę, jak kochanka, w groteskowej scenie trzyma pod grozą nieistniejących rewolwerów.

LISTY RZYMSKIE

Poeta melancholijnego rozpuku

Luigi Antonelli — to jeden z najbardziej lubionych autorów włoskich.

Luigi Antonelli —to autor, o którego komedje ubiegają się trzy najlepsze „wesołe" zespoły teatralne.

We Włoszech bowiem, wobec braku teatrów stałych, wytwarzają się możliwie stałe zespoły — trupy wędrowne. O charakterze tych zespołów decyduje rodzaj talentu głównego aktora lub aktorki, zazwyczaj równocześnie dyrektora trupy.

W ciągu ostatnich 3 lat zmienność trup znacznie się zmniejszyła. Życie zespołu, obliczane dawniej na parę miesięcy, na sezon, dziś znacznie się przedłużyło. Istnieją już zespoły, które przetrwały po parę lat bez poważniejszych zmian wśród pierwszoplanowych członków zespołu.

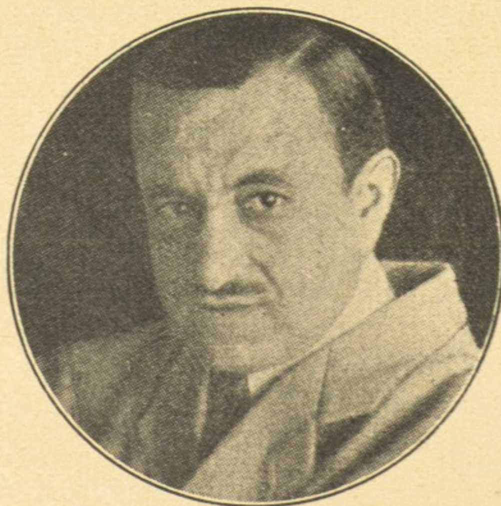
Zespoły czysto komedjowe o zakresie poważniejszym są dotąd jeszcze mniej stałe, a „płynność" ich obsady jest bardziej wartka. Decyduje tu zazwyczaj mniejsze powodzenie, towarzyszące tym trupom. Wyjątek stanowią trupy: Niccodemiego, Pawłowej i poczęści Marji Melato.

Mniejsze powodzenie kompanji komedjowych, posiadających nawet często świetne *poszczególne* siły wykonawcze, wypływa z charakteru widza włoskiego, oraz z repertuaru, jakim te trupy operują.

Kompanje te siłą rzeczy grają wszystko: dramat Pirandella, groteskę Chiarellego, komedję Bernsteina, sztukę Molnara, Szekspira lub Goldoniego, Claudela i Antonellego i t. p.

A tymczasem widz włoski naogół nie lubi eksperymentów, nie lubi niespodzianek, lubi wiedzieć, że jeżeli idzie do danego teatru — to oczekuje go skupienie, wysiłek, nastrój poważny, jeżeli idzie do innego — to po to, aby się bawić, śmiać, odpocząć myślowo po pracy. Nie lubi niespodzianek repertuarowych.

Predylekcja widza włoskiego idzie ku muzyce — (operze, operetce), oraz ku lekkiej komedji, ku farsie. Muzyka lub śmiech, oto co stanowi magnes kasowy we Włoszech. To też wśród istniejących kompanji hołdujących „śmiechowi" trupy: czysto farsowa Gandusia, farsowo - komedjowa Falconi - Borboni oraz największego komika włoskiego Petroliniego, mogą się szczycić rzadkim we Włoszech fenomenem: niemal zawsze wyprzedanej sali.



Luigi Antonelli

Dziś wszystkie te zespoły starają się mieć w repertuarze komedje Antonellego, zabiegając zgóry o te nawet, które ma napisać.

Jest to tem dziwniejsze, iż śmiech Antonellego ani nie jest płaski, ani brutalny.

Antonelli pisze komedje, które wywołują salwy śmiechu i zapełniają teatr, — a mimo to Antonelli jako autor jest właściwie romantykiem z krwi i kości. Człowiek żyjący wśród hodowanych kwiatów i oswojonych słowików, które doprowadził swą tkliwą opieką do śpiewania w klatce. Człowiek rozmawiający z chmurami, dla którego każda roślina, rzecz ma własną duszę. Człowiek odczuwający przyrodę i wnikający w nią — pisze komedje, na których tłumy widzów „pękają ze śmiechu" — a kasjer teatralny zaciera ręce. A mimo to nie zdradza siebie — poety - fantasty — często nieporadnego w życiu, nie zabiegającego o powodzenie, nie umiejącego chodzić koło swych spraw.

Wynika to przedewszystkiem stąd, że wesołą nutę komedji Antonellego stanowią sytuacje.

Jest to więc najbardziej teatralna, najidealniejsza „zabawność".

* * *

„Dramma, commedia e farsa". — pomysł prosty, nie nowy: zdrada małżeńska. Antonelli spojrzał nań z pobłażliwym uśmiechem ironisty. Wplótł do tego starego konfliktu dwie osoby: autora dramatycznego i dyrektora teatru.

Obaj oni wspólnie w oczach widzów piszą te trzy sztuki. Obaj współpracują przy wykazaniu komiczności tej samej sytuacji, wykonanej przez trio tych samych aktorów — reprezentujących tylko w każdym akcie inne charaktery ludzkie. Widz widzi, jak dodanie jednego tomu, jednego gestu zmienia koziołkującą farsę w dramat ibsenowski lub lekką ironiczną komedję.

A jednocześnie z główną akcją toczy się druga: autor ciągle pchający się na scenę i dający rady aktorom, jak mają grać — bo rzecz dzieje się na próbie teatralnej — i dyrektor - reżyser, korygujący autora, jak właściwie powinien był pisać.

Ta równoległa akcja zupełnie jednakowo ośmiesza niektóre „nawyki" aktorskie, fałszywość póz i gestów — jak i pewność siebie autorów, uważających, iż posiedli tajemnicę kunsztu gestu aktorskiego.

„Dramat, komedja i farsa" dostąpiły zaszczytu, iż jednocześnie trzy kompanje w jednym sezonie rozwoziły po Włoszech ich powodzenie i wesołość.

* * *

Antonelli jest poetą, poetą-fantastą, zatrzymującym czas, w swej ostatniej komedji „La rosa dei venti" i nakazującym swemu bohaterowi przy pomocy Kronosa „przeżywać się" ponownie. I znowu obok czystej fantazji poetyckiej, stającej się motorem akcji — zjawia się cały kompleks sytuacji tak komicznych, że publiczność — tym razem medjolańska — huczy oklaskiem przy otwartej kurtynie, wywołując potem siedmiokrotnie tego niemal zakiopotanego powodzeniem poetę.

Temat „Rosy" jest podobny nieco do historji „Człowieka, który spotkał samego siebie" i który dzięki znalezieniu się na wyspie — obok świata istniejącej — ma możność ustrzedz się, poprawić wszystkie swe błędy i pomyłki. Ma on świadomość, do czego go doprowadziło poprzednie życie, wie, jak należy je naprawić, czego nie należy robić, a pomimo to ponownie ulega namiętnościom, zapędom, uniesieniom i mimo doświadczenia i przestróg wpada w te same iluzje i desiluzje.

I znowu komik i poeta idą obok siebie równolegle.

Wesoły melancholik, marzyciel, potykający się o realizację własnego pragnienia i wraz z marzeniem wywracający nieprawdopodobnego kozła zazwyczaj jednak na nieszkodliwą murawę — oto Antonelli, czasem niedociągający, czasem powtarzający się w swej trylogji teatralnej, ale zawsze pełen obawy, aby dymiący komin codzienności nie pobrudził jego czystych obłoków na niebie, tych obłoków, co często od wiatru wydęte komiczne przybierają kształty.

* * *

W sztuce „Dom o trzech piętrach" przeważa nastrój melancholji w postaci głównej bohaterki, zarysowanej dyskretnie i delikatnie — ale równocześnie wypełzają tam komiczne przywary ludzi obawiających się śmierci, która według przepowiedni grozi komuś z pomiędzy mieszkańców domu.

Natomiast w „Bernardo l'Eremita" zjawia się wesoły śmiech od pierwszej chwili, aby zakończyć się liryzmem optymistycznej idylli, wynurzającej się z szeregu komicznych sytuacji. Bo czyż może być śmieszniejsza sytuacja, a jednocześnie bardziej błaha, jak zakochany konkurent zapadający na „świnkę" — chorobę wstępniaków — w momencie, gdy ma podjąć walkę o zdobycie ukochanej a znanej tylko z miłosnej korespondencji narzeczonej? Z tej błahostki wyrasta żywa, sytuacyjna farsa, farsa w dobrym tonie, żywem tempie, zwartym djalogu, a komedjowem rozwiązaniu.

* * *

Antonelli to fantasta w stosunku do swych bohaterów, podobny do Pirandella, tylko tam, gdzie Pirandello się męczy, tam Antonelli z pobłażliwym uśmiechem przywołuje optymizm i grymas bólu przekształca już nie w śmieszność czy ironję, lecz w rzetelną komiczność.

Szczery komizm sytuacji, serdeczne poetyckie spojrzenie w dusze swych bohaterów — oto odrębność Antonellego w szeregu innych autorów włoskich, oto jednocześnie tajemnica jego powodzenia. Nie są to może rzeczy epokowe, ale jest to niewątpliwie dobry teatr, żywy, sytuacyjny, dowcipny, nie zapominający o kunszcie języka i o kreowaniu roli.

W ciągu ostatnich tygodni Antonelli nietylko we Włoszech był tryumfatorem. Jego „Wyspa Małp", wystawiona w Pradze, grana była kilkadziesiąt razy z rzędu. Największe jednak uznanie znalazł w stolicy naddunajskiej.

Oto związek autorów wiedeńskich zażądał przesłania sobie do wyboru pewnej liczby komedji włoskich. Z Rzymu Związek włoski wysłał 70 sztuk. Z tej liczby wybrano w Wiedniu — dwie.

Obie Antonellego: „Człowiek, który spotkał samego siebie", i — „Dramat, komedja i farsa".

Jest to rzeczywiście dla autora sukces wyjątkowy. Komedje niezawodnego Antonellego same się pchają, krytyka włoska i zagraniczna je chwali, a człowiek hodujący słowiki, jakby z zażenowaniem w śpiewie ich zdaje się szukać zapomnienia swych trosk i tych komicznych sytuacji przezeń wykrzesanych a rozbawiających publiczność, gdziekolwiek się ukażą.

Rzym. *Leon Chrzanowski*

BOCIANIE GNIAZDO NA SŁUPIE TELEGRAFICZNYM W CZECHACH

Przemyślne bociany urządziły sobie gniazdo na słupie telegraficznym. Bociany te nie lękają się prądu elektrycznego, a boją się sąsiedztwa ludzi?

Powiedzenia, powiedzonka

Zdając sprawę z książki p. Pierre Gaxotte'a p. t. „Rewolucja francuska", p. Jacques Bainville powiada:

— Najpierw trzebaby wybrnąć z pewnego rodzaju zagadnień. Bo, o ile Rewolucja zaczęła się od entuzjazmu, o tyle Francja wyszła z niej, jak z koszmaru. Nic nie można poradzić przeciw temu stwierdzeniu, że autentyczni rewolucjoniści, królobójcy, doktrynerzy, inicjatorowie ruchu 1789 r., jak Sieyès, musieli szukać Bonapartego, aby położyć koniec niesłychanemu rozprzężeniu. W latach, które nastąpiły po 18 brumaire'a, wiedziano, że Rewolucja była tylko długotrwałą i nieuleczalną demagogją. Miano tego dosyć. Miano tego powyżej głowy, jeżeli można tak powiedzieć, gdy było tyle głów ściętych.

— — — — — — —

P. Max Daireaux powiada:

„Więcej się wkłada żaru w zwalczanie wroga, niż w popieranie przyjaciela".

„Trzeba być bardzo marnym osobnikiem, żeby nie mieć szacunku przyjaciół. Zmusić wroga do szacunku, to człowieka powiększa".

„W dniu, w którym odkrywamy nienawiść, przyjaźń wydaje się rzeczą mdłą".

„Człowiek nie mający wrogów obdziela nienawiścią swoich przyjaciół".

„Przyjaźń utrwala miłość".

„Mówi się zwykle o obowiązkach przyjaźni i o prawach miłości. Dlatego wolę miłość, niż przyjaźń".

— — — — — — —

Leon Daudet opowiada, że po pogrzebie Wiktora Hugo kilku literatów, bliżej ze sobą żyjących, udało się do kawiarni. Byli to: Zola, Edmund Goncour, Leconte de Lisle, Gustave Geffroy, Alfons Daudet i Céard. Gawędzono na temat autora „Hernaniego". Wkońcu, kiedy już wstawano, aby się rozejść, Leconte de Lisle z wyrazem twarzy, malującym zaciętą nienawiść, rzekł o znakomitym nieboszczyku:

— Opił się i objadł swoją chwałą! Ano, niech ją teraz trawi! *A. B.*

SENTYMENTY

I. Zapach cierpienia.

Żeś Ty przyjść miał, nie było radością niespodziewaną. Niema niespodzianek w jej zakresie. Odczuć się ją musi, zanim pomyślaną zostanie. Wszystko inne poza tą kategorją radości, to patiomkinowskie tylko wsi i miasta z kartonu, na horyzoncie ustawione. Aby złudzić oczy naiwne. Otóż przyjście Twoje było radością. Ręce ślizgały się po drobiazgach w przygotowaniach dziecinnych, żrenice kolejno ilustrowały wszystkie przedmioty najzwyklejsze, aby się umocnić w przekonaniu, że są dość świąteczne, dość współradosne. No i zwierciadło. Zwierciadło najdłużej, najskrupulatniej i może najboleśniej. Na trójnóżku miedzianym dopalało się kadzidło. Duszną, zwięzłą wstążką ambry. Dwa bilety, przygotowane do teatru, leżały na toalecie. Pójdziemy razem, ubogo, demokratycznie. Raz jedyny, odkąd się znamy, siądziemy blizko siebie i patrzeć będziemy na jeden i ten sam obraz równocześnie. Tylko w podobnym wypadku równoczesność nie jest męką. Uwagą, pieszczotą, pytaniem, czy dezaprobatą naszych czworga oczu, obejmiemy jeden i ten sam punkt świata. Potencjonalnością naszego obcowania, najważniejszy. Glob się zredukuje, a zarazem zwielokroci. A że nasze ramiona będą się dotykały, leciutkim przewodem jedwabiu i wełny, nastąpi pewna transfuzja jaźni, myśli, pomyśleń nawet. Będziemy jednako się zastanawiali nad tem, co widzimy. I nad sobą. Ja nad Tobą — — a Ty!? Puder się rozsypał na bilety zielone. Trochę kremowego Coty'ego, trochę popiołu cielistego na bezgrzeszny plan rozrywki. Zdmuchnęłam puder, więc osiadł delikatnie i przekornie na Joannie d'Arc Delteila. Kiedy się borykałam z pudrem i Joanną d'Arc, wszedłeś. Wewnątrz — — w sobie — — niewidocznie — — uczyniłam jeden skok ku Tobie, jakby w jakąś nagrzaną, najmiększą przepaść. W rzeczywistości jednak, podeszłam tylko spokojnie, podałam Ci grzecznie rękę i siedliśmy przy sobie. Dość blizko. Zawsze za daleko. I zaraz z miejsca, zaledwie zdołałam oddech opanować, zacząłeś mówić rzeczy niezrozumiałe. Że wieczór masz zajęty — — spotkanie z takim panem — — sprawa skomplikowana. Że urwałeś z trudem tych parę minut dla mnie. Parę minut minęło. Właściwie ich nie było. Najboleśniejsze jest, wiesz, to mijające, które nie istniało. Wyszedłeś. Ambra na trójnóżku przestała tlić. Zapaliłam kadzielniczkę na nowo i, powolutku, nie myśląc o niczem ważnem, spalałam na niej bilety teatralne. Zaświdrował jakby cieniutkim krzykiem zapach palonej ambry, oraz palonego papieru. Wtedy zrozumiałam po raz pierwszy, że i cierpienie ma swój zapach.

II. ŚCIEŻKI.

Goniły się i przeganiały karkołomnie, splatały i rozplatały, aż się związały warkoczem w jeden trakt, o niezwiewnych, głębokich koleinach, prowadzący— — —? Dokąd prowadzić mogą ścieżki człowiecze, poważnione na nużącym terenie, wiatrem ścierane, a niecierpliwemi stopami żłobione nanowo!?

Strzeliły jak słupek drogowskazu, chłopięce czyjeś ramiona. W biernej nieporadności były bezbronne i, zarazem, naiwnie obronne. I chłodne, jak bywa chłodne — — na wiosnę — — wnętrze kory brzozowej. (Przyłóż taką świeżą korę do twarzy: jaka jest pachnąca, wilgotna i chłodna!). Zmęczyła abrakadabra ścieżki niewytkniętej. Szukało się żarliwie wypoczynku, ożywczej kąpieli w łagodnych nurtach tkliwości. Niezbędniejszej od chleba, tkliwości. Wtedy nadbiegła znowu pod stopy, że strony przeciwnej, niewyraźna taśma ścieżyny. Znowu majak i zmylenie. Twarz? Ramiona? Wejrzenie? Pocałunki bez treści, pieszczota bez pieszczoty. Na progu tak zwanej miłości kształt tanka: zdyscyplinowany, obojętnie zachłanny kształt mechanicznego elementu. Miłość nie była popędem, nie była obrzędem, ani experymentem, ani poezją, ani liryzmem, ani kabotynizmem, ani nawet koniecznością. Była nieskatalogowaną czynnością biurokratyczną i przez ten swój oschły biurokratyzm fizjologiczny stawała się poniżeniem. Jęczał człowiek wykolejony. Z przerażeniem pokornem patrzył w blisko nachylone a niepatrzące oczy. Z rozpaczą kładł usta pod usta niecałujące, a dywanik zwiotczałego trwogą ciała pod uścisk krótki i gniewny. W uszach płakały jakieś szorstkie, niezrozumiałe nakazy sytuacyjne i dyspozycje. Opodal zaś, w siateczce ścieżek, daremnie nas szukała drżąca i miła dłoń. Fatalnie się rozmijały z nami nazawsze czułe, chłonne, młode ramiona, pieszczota romantyczna i kołysząca i dobre oczy wierne. Cóż robić!? Nie wrócimy już. Idziemy. Ścieżki, które się splatały i rozplatały fantastycznie, związały się już twardo w warkocz jednego, jedynego traktu, tak niesprzyjającego zmęczonym krokom.

III. STOLIK.

Zostały refleksje. Że modlitwy naprzykład niema wcale. Siłą rzeczy każda jest tylko wymówką. Łaskodawcy, przewidującego wszystko od prapoczątku, nie można o nic prosić. Prośba jest zawsze w tym wypadku perfidnym jeno futerałem krytyki. Myślała o miłości:

— — — *...kiedyż spojrzę nareszcie na niego oczami umarłej miłości, oczami, które będą dalekie, mądre i ironiczne!?* O odeszłem cierpieniu myślała: jak mogło odejść? Mały wysiłek gangljí mózgowych pozostaje wiecznotrwały, jako wynalazek, jako dzieło sztuki, a tak wielki wysiłek serca nie pozostawia śladu!? Czyżby boska logika miała także swoje odpływy i przypływy, jak morze??! A o sercu samem myślała, że w dobie, w której zaczęto najsubtelniejsze studja nad sercem rośliny, czy warto się zastanawiać nad sercem człowieka!? O przyjaźni tylko nic nie myślała. Zamknęła ją w sobie zazdrośnie. Skondensował się w tem uczuciu ostatni płomyk światła, ułamek dawnych, innych, chimerycznych rac i błyszczał wiernie w zmroku, bladawym, kochanym znakiem, przed rzędem świątków zakurzonych. I tak się złożyło, że trzeba było się schronić pod ów dach, gdzie mieścił się, jak pod szklanym, hermetycznym kloszem, ogrom najcenniejszej przyjaźni. Tak się złożyło. Gościna ta miała być zbawieniem — — wślad kanonów, że nie w sobie samych, ale poza sobą szukać mamy zbawienia. Wszedłszy do nowego mieszkania, rozejrzała się po niem radośnie i w zachwyceniu. Wszystko było radosne i zachwycające, nawet pochylona na bok komoda, nawet nadtłuczona lampa, nawet fotel z wyprutym rozharem. Lecz niewiadomo poco zauważyła nagle, że przydałby się jeden chociażby stolik. Głupstwo. Jeden stolik. Zawahała się mimo to, czy wspomnieć o nim, tak dalece przekonana, że najpotrzebniejszego sprzętu się tu wyzbędą, byle jej uczynić przyjemność. Jednak rzekła fatalnie:

— — — Jak cudnie! miło! przemiło! Jeszcze gdyby można było wziąść ten stolik z salonu, schowany za portjerą... wtedy byłby już raj.

Milczenie. Niespodziewane, jak piorun, jak śmierć. Przesuwa się gwałtownie taśma filmowa, ilustrująca mglisto to milczenie. Oczy natężone się męczą w poszukiwaniu zaprzeczenia. A po chwili:

— — — Niestety, trudno będzie. Nie jest potrzebny, ale tyle lat go widzę w owym kącie. Może inny się znajdzie...

I nie o to chodzi, że nigdy się stolik nie znalazł, że przyjaźń także stała w owym kącie, tyle lat, ale że się zgubiła ona, o małoznaczny sprzęt potrącona.

Marja Jehanne Wielopolska

TEATR POLSKI: „DON KISZOT", SZTUKA W 4-CH AKTACH, ST. MIŁASZEWSKIEGO



Don Kiszot (Maszyński) i gospodarz (Małkowski)



Don Kiszot na Rosynancie konstrukcji K. Frycza (Maszyński)

Fot. St. Brzozowski

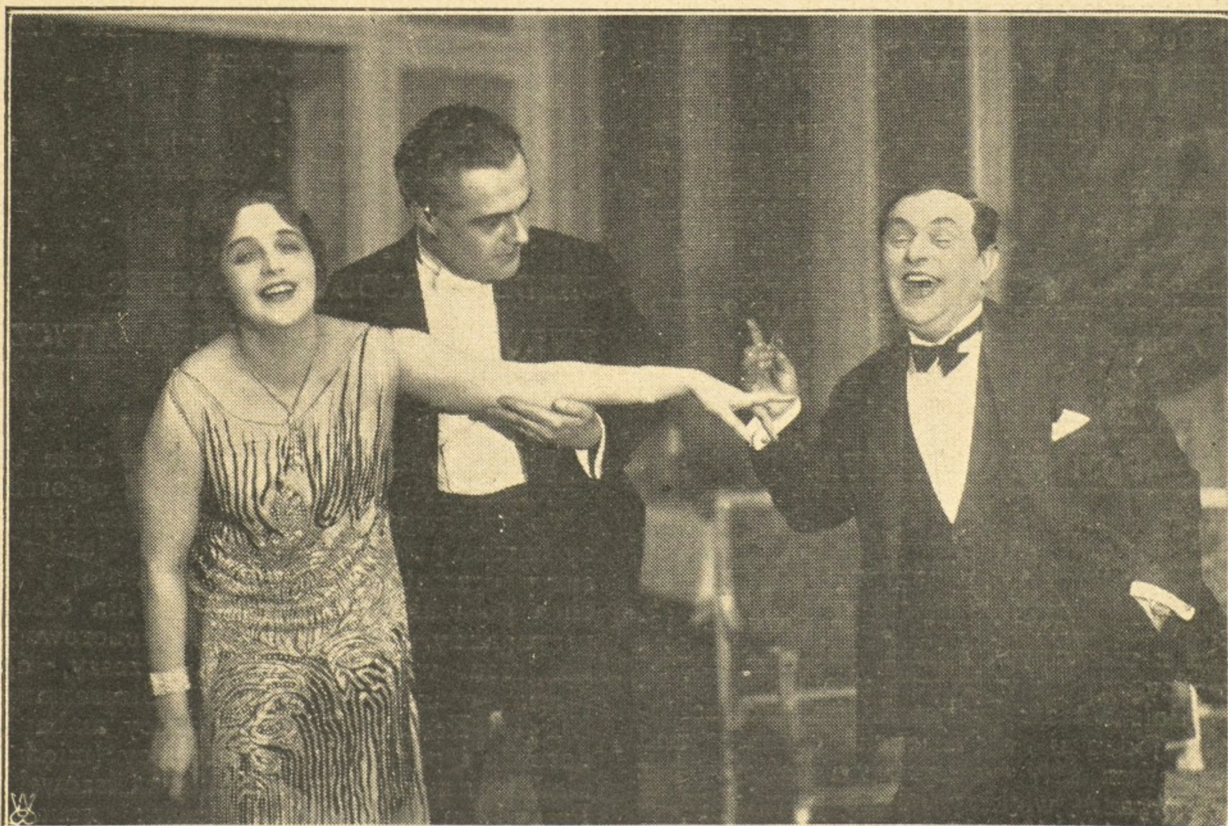
Z TEATRU

„PANNA Z DOBREGO DOMU".

Panna z dobrego domu jeżeli jest piękna i urocza, jak bohaterka p. Wincentego Rapackiego (syna), nie potrzebuje się zbytnio martwić o zamążpójście. Zawsze znajdzie takiego, co się z nią ożeni, choć często później równie łatwo jegomość rozwiedzie się lub wogóle drapnie. Małżeństwo po wojnie nie jest takim sakramentem, któregoby się obawiali mężczyźni. Gorzej jest z pannami brzydkiemi, ale i te usamodzielniły się bardzo i znajdują wielbicieli, jeżeli chcą. Konflikt komedji p. Rapackiego jest cokolwiek przedwojenny, ale nie znaczy to, by nie był wesoły. Śmiejemy się z przygód „panny z dobrego domu", udającej kokotę. Nie gorszymy się jednak zbytnio, bo trudno teraz rozpoznać, kędy bieży linja demarkacyjna. Utarło się nawet mniemanie, że kokoty w nasze czasy szczególnie wyemancypowały się ze złego smaku. Są i takie ,co przodują inteligencją, poziomem konwersacji i niezawsze karminują się i szminkują. Od czasu gdy wszystkie panny wskutek mody pokazują kolana, trudne zadanie ma pisarz obyczajowy, gdy chce na ten temat pisać satyrę.

Śmiejemy się z „Panny z dobrego domu" W. Rapackiego i z tego względu, że autor nagromadził w krotochwili swojej galerję zabawnych typków. Kończy się wszystko wspaniale: „Panna z dobrego domu" wyjdzie za mąż. Grała ją p. Gorczyńska bardzo wdzięcznie i lekko. Śmieszył salę p. Fertner swojemi specjalnemi konceptami i minami. Krotochwila ma zapewnione powodzenie. Z.

TEATR LETNI: „PANNA Z DOBREGO DOMU", FARSA W 3-ch AKTACH, W. RAPACKIEGO (SYNA)



Wykonawcy głównych ról: Pp. Gorczyńska, Hnydziński i Fertner

Fot. Jan Malarski

WYSTĘPY P. STANISŁAWY KORWIN-SZYMANOWSKIEJ W OPERZE GENEWSKIEJ



Pani Stanisława Korwin-Szymanowska śpiewała ostatnio w operze: „Uprowadzenie z Seraju" na scenie opery genewskiej. Podajemy tutaj zdjęcie znakomitej śpiewaczki w roli Konstancji (III akt).

Drobiazgi teatralne

D'ANNUNZIO W NIEŁASCE.

„Die litterarische Welt" donosi, jakoby d'Annunzio utracił względy Mussoliniego. Il Duce miał wyrazić się wobec paru cudzoziemców o autorze „Giocondy" w następujący sposób:

— D'Annunzio skończył swą rolę w życiu literackiem Włoch. Jest on pozerem, szarlatanem, który operuje wielkiemi słowami i pięknemi frazesami. D'Annunzio reprezentuje poprzednie, zdegenerowane pokolenie. W nowych, dzisiejszych Włoszech nie ma miejsca dla ludzi tego typu. My chcemy poezji zdrowej!

SUBWENCJA „KOMEDJI FRANCUSKIEJ.

Rząd francuski podwyższył subwencję roczną „Komedji Francuskiej" z 500 tys. franków na 750 tys. Innemi słowy, najpierwsza dramatyczna scena paryska, jedna z pierwszych świata, pobierać będzie roczny zasiłek w kwocie około 250.000 zł. W Polsce teatr krakowski im. Słowackiego, jeden z najsłabszych obecnie pod względem artystycznym, ma deficyt bez porównania większy. Inne zresztą nasze teatry miejskie nie pozostają pod tym względem w tyle, — wykazując deficyty, które zastanowiłyby... we Francji.

SIOSTRY. Dwie urocze girls, — tancerki kabaretowe, ubierają się jednakowo, mówią wiele o swem podobieństwie, stanowią wzór dobrych sióstr. Każda z nich ma na ustach tylko: — Moja siostra to, moja siostra tamto... Zawsze razem, zawsze solidarne, na scenie i za sceną.

Pewnego wieczora, przed przedstawieniem jedna z sióstr zjawia się u dyrektora z troską na miłem obliczu.

— Panie dyrektorze, nasz numer dziś musi wypaść z programu.

Dyrektor zdziwiony:

— Co się stało?

— Właśnie siostra telefonuje mi, że *jej* matka zachorowała...

MIĘDZYNARODOWY KONGRES ZWIĄZKÓW AUTORÓW DRAMATYCZNYCH.

Rozpoczyna się w Berlinie w dniu 15 kwietnia. Trwać będzie 10 dni. Z ogłoszonego programu widocznem jest, że Niemcy bardzo poważnie traktują ten zjazd pisarzy dramatycznych całego świata, i że chcą go umiejętnie wyzyskać dla celów propagandy. Do komitetu honorowego kongresu weszli: kanclerz Rzeszy, dr. Marx oraz ministrowie Stresemann, Hergt i Keudell. Także wszyscy ambasadorowie i posłowie cudzoziemscy (między nimi i nasz poseł, p. Kazimierz Olszowski. Prezydjum kongresu stanowią: senator Morello (prezes), André Rivoire, Max von Schillings (znany kompozytor niemiecki), John Emerson, Eugène Heltki i Stefan Krzywoszewski, jako wiceprezesi.

Delegatami Związku Autorów Dramatycznych Polskich będą pp. Stefan Krzywoszewski (prezes), Włodzimierz Perzyński, Wacław Grubiński (wice-prezesi) i J. A. Hertz (kierownik Agencji Związku).

Równocześnie odbywać się będzie w Berlinie kongres związków, reprezentujących t. zw. „mniejsze prawa", na który warszawski Związek Artystów i Kompozytorów scenicznych wydelegował pp. Kazimierza Wroczyńskiego i Józefa Hoffmana.

Warszawskie Tow. Obrony Praw Autorskich powierzyło pp. Stefanowi Krzywoszewskiemu i Kazimierzowi Wroczyńskiemu swoje przedstawicielstwo na kongresie.

„GUTLIBI".

Paryski teatr „Madeleine" wystawił trzyaktową sztukę włoskiego pisarza Forzano p. t. „Gutlibi". Rzecz rozgrywa się w Belgradzie między emigrantami rosyjskimi. Bohaterką sztuki jest córka księcia Sołowina, która wierzy, że cesarzewicz został uratowany, że żyje gdzieś ukryty w Rosji. Chce tam się udać, by go odnaleźć. W Annie kocha się tajny agent bolszewicki Ljewicz. Ona go nienawidzi, ale chce przezeń dowiedzieć się prawdy. Zręcznym i efektownym wybiegiem doprowadza go do wyznania, że on właśnie był jednym ze sprawców zbrodni ekaterynburskiej, świadkiem mordu nieszczęśliwej rodziny carskiej. Ta scena kulminacyjna czyni wielkie wrażenie.

W Annie kocha się również poczciwy murzyn, który żył szczęśliwie w Senegalu, aż go wojna rzuciła na europejskie bezdroża. Został słynnym atletą, nazwisko jego jest głośne w całym świecie, zarabia olbrzymie sumy. P. Forzano tedy, do walki „białych" z czerwonymi" wprowadza jeszcze trzeci element — czarny... Biedny czarny element staje się powolnem narzędziem w ręku Anny. Oszalały zazdrością, dusi Ljewicza, — długiem więzieniem zapłaci za to cywilizowanej Europie...

Sądząc z treści, zdaje się, że „Gutlibi" zainteresowałby publiczność warszawską.

ŚPIEW I OPERA



P. Janina Korolewicz-Waydowa, znana śpiewaczka polska, przeniosła się ostatnio na stały pobyt do Warszawy i w najbliższej przyszłości otwiera „Studjo Śpiewacze i Operowe" na wzór sławnej uczelni paryskiej ś. p. Jana Reszke, z którym artystka pracowała przez dłuższy czas.

Jak ubrać nasze maleństwa





Sukienki dla dziewczynek

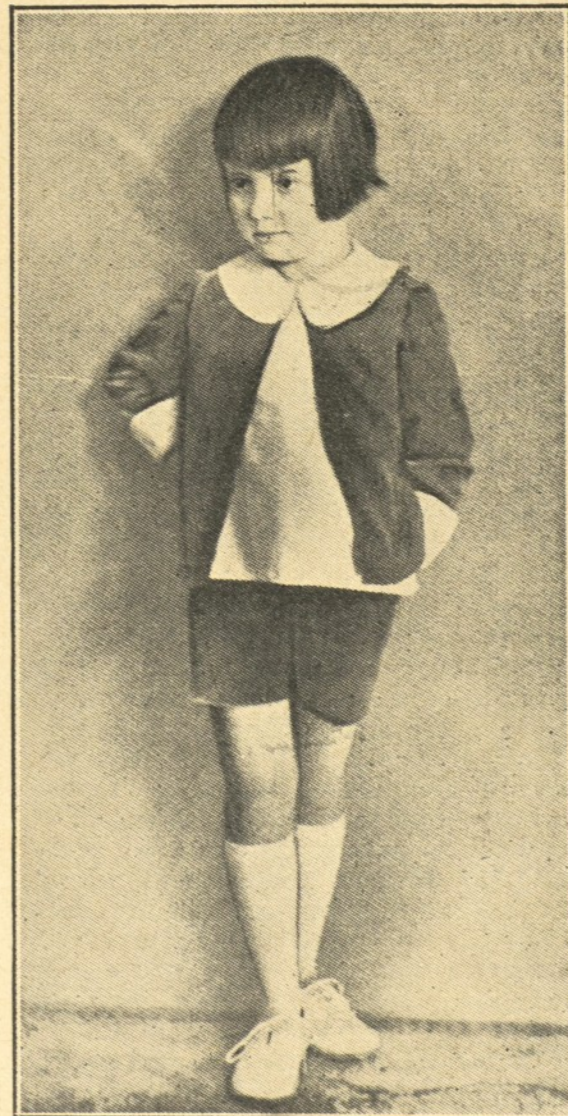


Płaszczyk i kapelusz

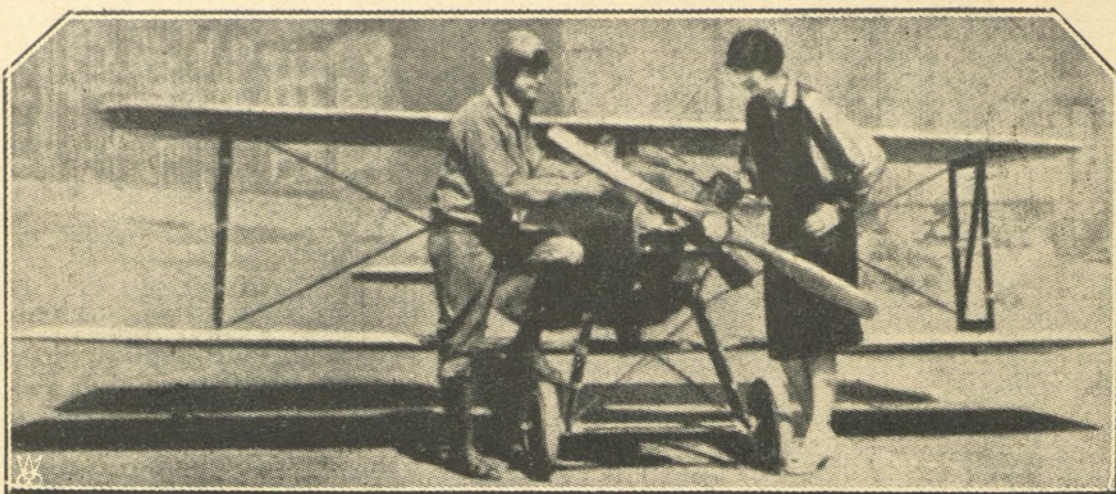


Sukienka dla dziewczynki





Ubranko dla chłopca



Najmniejsza awioneta amerykańska (20 KP), używana do celów sportowych

Lotnictwo na drogach sportowych

Wojna europejska, która tak wydatnie przyczyniła się do pomyślnego i szybkiego rozwoju lotnictwa, nadała jednocześnie temu rozwojowi inny kierunek, niż lotnictwo posiadało w swych zaczątkach. Pierwsze wzloty, pierwsze tryumfy to z jednej strony walka konstruktorów o zwycięstwo, z drugiej zaś akcja w znacznej mierze sportowa. Pierwsi lotnicy są przedewszystkiem sportsmanami, tak jak pierwsi automobiliści.

Wojna sprowadza lotnictwo z tej drogi. Kierownictwa armji zdają sobie doskonale sprawę z olbrzymiego znaczenia aeroplanu, jako broni zaczepnej i pomocniczego środka wywiadowczego i w tym kierunku przedewszystkiem forsują rozwój samolotu. Otrzymuje on coraz solidniejszą konstrukcję i coraz potężniejszy motor, który w zamierzeniach na najbliższą przyszłość ma dojść w superhydrawionach do siły 2.000 KP. Samolot komunikacyjny, wprowadzony po wojnie, podąża w swym rozwoju tymsamym śladem i również staje się niezwykle silną, a dzięki temu i niezwykle kosztowną maszyną. Kosztowną i jako aparat, kosztowną przez zużywanie ogromnych ilości benzyny, smarów itp.

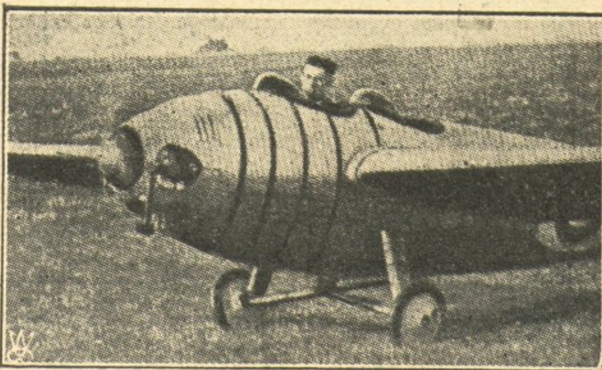
Dopiero w ostatnich latach część konstruktorów poczęła podążać w odwrotnym kierunku, usiłując stworzyć samolot lekki i tani. I zaraz pierwsze próby dowiodły, że aparat tego lekkiego typu nie jest bynajmniej czemś pogardy godnem, lecz przeciwnie umożliwia osiągnięcie bardzo poważnych, nieraz świetnych wprost wyników.

Tak więc np. w październiku ub. r. francuz Maurycy Finat przelatuje w towarzystwie żony 868 klm. z Bourget do Tempelhofu pod Berlinem na aparacie Caudrona z motorem Salmsona o sile 40 KP. Dnia 8 grudnia zdobywają światowy rekord dwa lekkie samoloty czechosłowackie z motorami o sile 60 KP.: kapitan Vlcek i porucznik Christian przelatują 1.305 klm. w ciągu mniej więcej 10 godzin, zaś kapitan Włodzimierz Cerny 1.740 klm. w ciągu 12 godzin i pół. Nie brak też rekordu szybkości: anglik kapitan Boad osiąga na aparacie Moth o sile 130 KP. szybkość 300 klm. na godzinę. Na wysokość 5.268 mtr. wznosi się lady Baiby w towarzystwie pani Haviland przy pomocy samolotu tego samego typu z motorem Cirrus o sile zaledwie 60 K. P.

Wślad za temi tryumfami produkcja aparatów lekkiego typu szybko się powiększa; znajdują one coraz szersze zastosowanie. Pierwsze miejsce wśród tych samolotów zajmuje niewątpliwie wspomniany już aparat Moth, produkowany przez konstruktora De Havillanda. Rozpiętość skrzydeł wynosi 9,15 metra, długość aparatu 7,23 mtr., wysokość 2,68 mtr. Po zwinięciu skrzydeł szerokość zmniejsza się do zaledwie 3 mtr., dzięki czemu, można samolot wygodnie transportować po każdej drodze, oraz pomieścić w zwyczajnej remizie. Aparat ten dwuosobowy waży 600 do 700 klg. i może przebyć 660 do 690 klm. w pięć godzin, to znaczy szybkość dosięga 135 klm. na godzinę. Dziesięć minut wystarcza na osiągnięcie wysokości 1.500 metrów, a 100 metrów wolnej przestrzeni pozwala wygodnie wylądować. Jest to więc wprost idealny aparat lekkiego typu.

Z Anglją rywalizują inne kraje. Więc Holandja ma samoloty jednoosobowe Pandera z motorami Anzaniego o sile 25 KP. i powierzchni nośnej niespełna 11 mtr. kw. Belgijskie aparaty S. A. B. C. A. S. z motorami 50-konnemi Anzaniego, prawdziwe limuzyny turystyczne przebywały podczas międzynarodowych konkursów przestrzeń z Paryża do Brukseli i z powrotem w ciągu 4 godzin 20 min., spotrzebowując zaledwie 80 litrów benzyny podczas drogi i dając podróżnym wszystkie warunki komfortu i bezpieczeństwa.

Niemcy konstruują przedewszystkiem jednopłaszczyznowce typu Klemm - Daimler, ważące zaledwie 275 klg. i mogące zabrać dwóch pasażerów i 50 klg. bagażu. W Czechosłowacji na pierwszy plan wysuwa się produkcja Towarzystwa „Avia"; aparaty te są wyposażone motorami Waltera o sile 60 KP., zabierają dwie osoby, powierzchnia nośna wynosi 14 mtr. kw. We Francji współzawodniczą z sobą głównie trzej konstruktorzy — Albert (motor Salmsona 40 KP., maksymalna szybkość 150 klm. na godzinę, zużycie benzyny 12 litrów na 100 klm.), dalej Caudron i firma Morane - Saulnier, produkująca kilka modeli specjalnie turystycznych.



Jednoosobowy samolot typu Moth

Ale chociaż istnieje już w Europie sporo typów sportowego samolotu, to jednak lotnictwo sportowe rozwija się jeszcze niezbyt pomyślnie. O jego rozpowszechnieniu się można właściwie mówić tylko w Anglji. Jest to przedewszystkiem zasługą rządu, który zrozumiał doniosłość popierania tego sportu i od kilku miesięcy faworyzuje bardzo wydatnie powstawanie „Light Aeroplane Clubs", subwencjonując je pieniężnie i zapewniając członkom wszelkie ułatwienia. Kluby nabyły pewną ilość aparatów do celów sportowych i za minimalną opłatę zapewniają swym członkom naukę lotniczą oraz praktyczne zastosowanie zdobytych wiadomości. Początkowa nauka trwa sześć tygodni, potem sportowiec lotnik doskonali się w ciągu trzech miesięcy, a wreszcie otrzymuje licencję drugiego stopnia na prowadzenie samolotów turystycznych. Koszt nauki i korzystanie z aparatów klubu wynosi niespełna 10.000 franków.

Sportowcy - lotnicy korzystają i z innych udogodnień. Tak więc kompanja De Havilland, która konstruuje aparaty typu Moth, urządziła w swym aerodromie specjalne hangary, które wynajmuje swym klijentom za bardzo umiarkowaną opłatą. Znajdujące się tam aparaty są kontrolowane przez mechaników kompanji. Koszt przelotu z kontrolą, opłatą garażu, benzyną itp. obliczono na mniejwięcej 1 frank za kilometr.

Nie można się dziwić, że w tych pomyślnych warunkach nowa fala sportowa zatacza coraz szersze kręgi. Członkowie klubów podczas t. zw. „week - end" (koniec tygodnia) podążają samolotami do swych posiadłości wiejskich, odwiedzają znajomych, a nieraz odbywają dalekie nawet podróże. Aparaty typu Moth rozpowszechniają się również wśród oficerów z garnizonów indyjskich lub południowo-afrykańskich, zapewniają bowiem posiadaczom wygodną i względnie tanią komunikację w bliższą lub dalszą okolicę.

Samolot Moth kosztuje dzisiaj około 30.000 zł. Oczywiście, w razie dalszego rozpowszechniania się sportowego lotnictwa można oczekiwać pojawienia się i tańszych typów. Już dzisiaj zapowiadają konstruktorzy francuscy produkcję samolotów jednoosobowych z motorem Anzaniego o sile 25 KP. w cenie 30.000 franków. Współzawodnictwo oddziała i na ceny w Anglji.

Dla rozwoju lotnictwa rozwój sportu w tym kierunku mieć będzie również doniosłe znaczenie. Albowiem rozpowszechnienie się sportu lotniczego — to — niewątpliwie ogromne zwiększenie liczby dobrych, wyszkolonych, zamiłowanych lotników, to spopularyzowanie żeglugi podniebnej, przyspieszenie zupełnego zwycięstwa człowieka nad państwem powietrza.

I może niezbyt już odległa przyszłość, kiedy szanujący czas gentleman posiadać będzie obok samochodu także samolot. Bo następstwem wzmożonego rozwoju sportowego bywa zawsze powszechne użytkowanie. Tak było z rowerem, tak z samochodem, tak będzie zapewne i z samolotem.

St. I.



Grupa zawodniczek i gości: p. Marsz. Piłsudska i gen. Fabrycy
Fot. W. Pikiel

Świąteczne szaleństwa sportowe

Piłkarze — pierwiosnki. — A jednak wolą tych, co kopią. — Jedni się popisują, drudzy „paskudzą". — W poniedziałek odwrotnie. — Dla przykładu słów kilka o prowincji.

Na całym świecie każde większe święta są „eksploatowane" z wielkim rozmachem przez najrozmaitsze gałęzie sportu. Już tak się ogólnie przyjęło, że Wielkanoc należy wyłącznie do piłkarstwa. Jest to zupełnie zrozumiałe. Inne sporty „letnie", uprawiane na wolnem powietrzu, jak lekka atletyka, kolarstwo, czy pływanie, są jeszcze „nierozruszane" o tak wczesnej porze wiosennej.

Piłka nożna budzi się pierwsza do życia. Niech tylko boiska trochę obeschną — piłkarz już kopie. To też na Wielkanoc potrafią oni rozpętać zawsze taką burzę meczów i spotkań, przeważnie z drużynami zagranicznemi, że poprostu w głowie się od tego kręci.

W Krakowie Vassas i Hertha, we Lwowie Cechie Karlin, w Poznaniu Schöneberger - Kickers. Warszawę uraczono międzynarodowym turniejem, zorganizowanym, trzeba przyznać, na niewarszawską skalę piłkarską. Polonia i Legja, dwie rywalki zacięte na terenie stolicy, spiknęły się zgodnie tym razem i zrobiły zamach poważny na stołecznych amatorów sportu „kopanego". Taki to dziwny sport, że chociaż się ludziska kopią, poszturchują i nawzajem doprowadzają do szewskiej pasji przy tej „robocie", mimo to szaleją za nim wszystkie stany.

I nic na to nie można poradzić. Są daleko piękniejsze, sądząc objektywnie, i „przyjemniejsze" sporty, lecz ludzie potrzebują przedewszystkiem „teatru" sportowego, efektów, emocji, wywołujących wypieki na twarzy i t. d. Wszystkie te głody ludzkiego temperamentu zaspakaja piłka nożna. I w tem się kryje sekret jej popularności w masach.

A jeszcze gdy na czas nudy świątecznej sprowadzi się aż dwie drużyny zagraniczne: Slavię czeską z Brna i niemiecki Union Oberschöneveide, i urządzi z niemi poczwórny kontredans meczowy, gdy za parę złotych zgłodniały przez zimę widz piłkarski może oglądać aż dwa spotkania z zagranicą jednego dnia!

Impreza ta, o ile można sądzić z zapełnionych szczelnie przez obydwa dni trybun Legji — udała się znakomicie.

Pod względem sportowym było trochę gorzej.

O ile bowiem, jak się przekonamy później, stolice Małopolski osiągnęły wyniki, przynoszące zaszczyt polskiemu piłkarstwu, o tyle Warszawa nie dopisała.



Koszutski w treningu

Mając przeciwko sobie dwie wcale nie najlepsze drużyny zagraniczne, w dwóch spotkaniach zwyciężyła, lecz w dwóch przegrała.

W niedzielę Polonia pokonała Slavię berneńską w stosunku 7 : 3! Jest to wcale „zaszczytny" rezultat, jak na kapryśną dotychczas drużynę Polonji.

Miała ona swój dzień. To było widoczne. Wszystkie „części" zespołu, zarówno atak, jak pomoc i obrona, funkcjonowały sprawnie, jak dobrze naoliwiona maszyna, kierowana wolą człowieka, którą w danym wypadku była dobra kondycja psychiczna i nerwowa całej jedenastki.

Sądząc z dotychczasowych wyników tej drużyny, ma się wrażenie, że wstąpił w nią nowy „duch" na początku tego sezonu. Obyśmy się nie mylili. W każdym razie jest ona w tej chwili daleko równiejsza i w wynikach i w poziomie gry od Legji, po której spodziewano się w tym roku niezwykłych rzeczy. No, ale zobaczymy. Tabela ligowa udowodni w jesieni, czarno na białem, jak to z tym „duchem mają się sprawy"...

Legja, która robiła wrażenie trochę przejedzonej święconem, nie pokazała w spotkaniu z Unionem nic poza słabemi odblaskami tego, co potrafi, gdy się jej chce grać. Bez werwy, jakby szynki i babki uwierały we „wnętrzach", ruszali się nasi mistrze w koronkowej robocie piłkarskiej.

Wynik brzmiał 3 : 1 dla Unionu! Pytam dlaczego? A pytam słusznie, gdyż następnego dnia ten sam Union ledwie się uporał z mizernym rezultatem, mając przeciwko sobie rezerwowy skład Polonji!

Drużyna czarnych wystawiła komplet nieprawdopodobnie słaby z sześcioma graczami rezerwowemi! I pomimo tego przegrała zaledwie 1 : 0! Mecz ten nie stał na poziomie turnieju międzynarodowego. Kulejący Dittmar, Seichter na prawem skrzydle i Krygier na lewem nie mogli wygrać tego spotkania. Miączyński w obronie naprawiał z poświęceniem to, co popsuł w pomocy Jelsky, lecz wszystko było bezskuteczne, gdy na innych pozycjach latali oszołomieni i stremowani debjutanci.

Trudno zrozumieć, aby względy taktyczne w ciężkiej walce ligowej zmuszały klub do tak liczebnego oszczędzania pierwszej drużyny. Rozumiemy, że „narybek" potrzebuje otrzaskania z trenującym przeciwnikiem zagranicznym, lecz dlaczego rezultatem tego ma być nudny mecz, w reklamowanym tak niezwykle turnieju świątecznym?!

Czwarty i ostatni akt tej imprezy był, trzeba przyznać, najbardziej emocjonujący.

Wzięły w nim udział dwie drużyny, po których się spodziewano, że zechcą się zrehabilitować za poprzednie porażki: Legja i Slavia. Dwa dobre technicznie zespoły.

Nie omyliliśmy się. To był football. Czesi dobrzy technicznie, w polu prowadzący grę taktycznie bez zarzutu, pokazali nam, jak się spokojnie, systematycznie „pracuje".

Legja posiadająca lepszy od nich „ciąg" na bramkę i szybciej decydująca się na strzał — wygrała. Kapryśna fala piłkarskich wyników przynosiła przez cały czas meczu emocjonujące niespodzianki. Najpierw wojskowi prowadzą 2 : 0, do przerwy goście wyrównali 2 : 2! Po pauzie Slavia przeważa przez dobry kwadrans i ma się wrażenie, że wygra. — Tymczasem kilka wystawień środkowej trójki ataku Legji i — zaczynają się goale do bramki gości: 3 : 2, 4 : 2, 5 : 2!! Mecz nie przypomina już spotkania towarzyskiego. Czesi wściekli za drugą porażkę, poniesioną w Warszawie, nie reprezentującej wcale najlepszego poziomu piłkarskiego w Polsce, zaczynają foulować. Na boisku, co chwila awantury. Obdarzeni również gorącym temperamentem gracze Legji rewanżują się pięknem za nadobne. W pierwszym momencie sytuacja wygląda tak, że Slavia zejdzie z boiska! Duch „sportowy" jednak zwyciężył i — piłka toczy się dalej.

Wojskowi pewni wygranej przepuszczają trochę. Zacięci bracia słowianie korzystają z tego i zaczynają przypuszczać atak za atakiem. Ziemian (Legja) zawinia rzut karny. Rezultat brzmi 5 : 3. Goal ten doppinguje Slavię, która teraz idzie „na całego" na bramkę Legji. Do końca jeszcze kilkanaście minut. Kalejdoskop piłkarski szykuje nowe niespodzianki! — Pada czwarta bramka dla Slavji!!! Sensacja na zakończenie turnieju pierwszorzędna. Mogą wyrównać. Wszystko za tem przemawia, że Legja nie utrzyma swego zwycięskiego wyniku. Lecz ciemności zapadają. Piłkę coraz słabiej widać. Na boisko wkrada się końcowy rozgardjasz i — gwizdek.

Legja schodzi z boiska z wygraną, lecz mogąc zwyciężyć w pięknym stosunku 5 : 2, przez brak „wytrzymałości" zarabia na Czechach tylko jeden punkt przewagi, potwierdzając jeszcze raz, że jest drużyną kapryśną, która mając chwilami przebłyski „genjuszu" piłkarskiego, potrafi po kwadransie być sztubacko leniwą, niedbałą i pozbawioną niezbędnej w sporcie ambicji osiągnięcia jaknajlepszego wyniku, pomimo zapewnionego zwycięstwa.

W Krakowie, w stolicy polskiej piłki nożnej, nie poszczęściło się tym razem drużynom zagranicznym. Wisła osiągnęła z budapeszteńskim Vasasem 1 : 1 i 1 : 2 pomimo brutalnej gry gości; Cracovia pokonała wiedeńską Herthę 5 : 3, a w drugim dniu wyszła na remis 2 : 2. Warta poznańska osiągnęła piękne wyniki z berlińskim Schönenberger Kickers 2 : 2 i 7 : 5. Drużynom lwowskim nie poszczęściło się z czeską drużyną Cechie Karlin. Pogoń przegrała 3 : 1, Hasmanea 5 : 2. Naogół jednak wynik wszystkich spotkań międzynarodowych wypadł dla nas pomyślnie: 5 zwycięstw, 3 nierozegrane i 4 przegrane. Bilans w sumie dodatni.

R.

NAGRODA IM. MARSZ. PIŁSUDSKIEGO



Wazę bronzową, nagrodę im. marsz. Piłsudskiego, zdobyła p. Świstakówna (I huf. szkolny) za strzał (91 pnk. na 100) na odl. 100 m. Broń małokalibrowa W. Pikiel

---

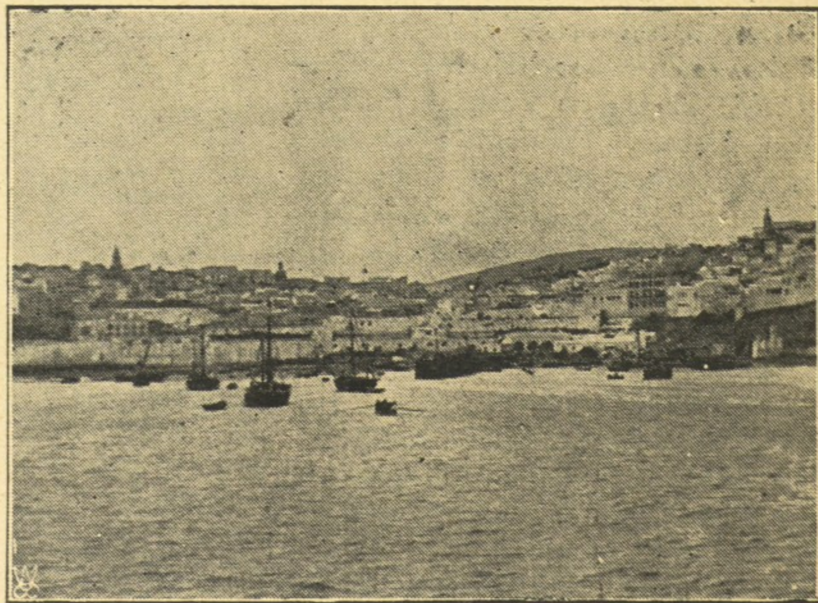
Jak świetnie rozwija się sport automobilowy w Polsce, tego dowodem ostatni (14) numer „Przeglądu Sportowego", wyśmienicie redagowanego przez p. Kazimierza Wierzyńskiego. Numer ten, pod względem tekstu obfity, pod względem wiadomości sportowych bogaty, pod względem kolorowych ilustracji bije wszystkie pisma zagraniczne, drukowane na maszynach rotacyjnych. Zwykłe ogłoszenia są tutaj powabnemi i subtelnemi obrazkami. Nic też dziwnego, że to pismo, wychodzące pod kierunkiem poety, autora „Lauru Olimpijskiego", tak jest „wzięte", tak rozpowszechnione, tak czytane nietylko przez sportsmanów, ale wogóle przez wszystkich.

TRZĘSIENIE ZIEMI W SMIRNIE



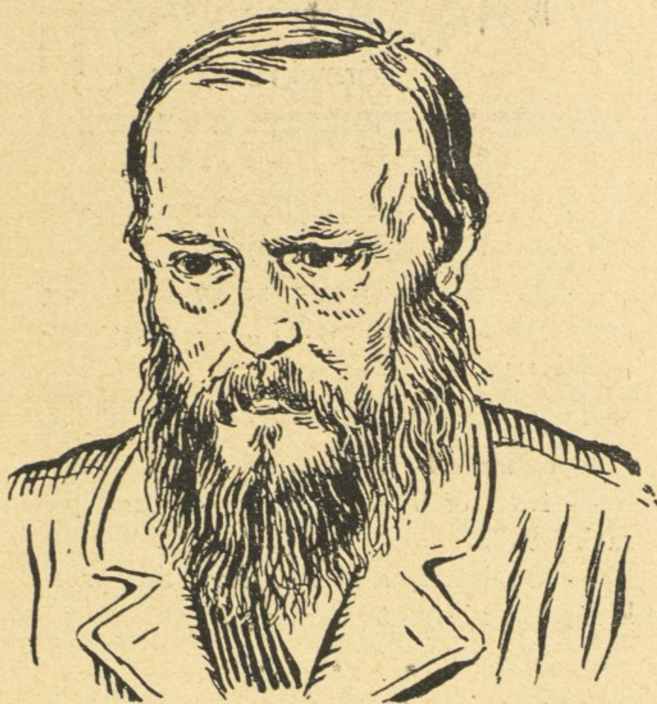
Zaułek w Smirnie

Fot. Photo-Plat



Widok na port

BEZPŁATNIE



DZIEŁA DOSTOJEWSKIEGO

Bezustannie dochodzą nas niezliczone żądania od naszych Czytelników, którzy chcą, abyśmy kontynuowali wydawanie dzieł klasycznych i wydawali najcelniejsze utwory tego wielkiego Rosjanina.

Teodor Dostojewski jest ojcem współczesnej powieści rosyjskiej, najznakomitszym pisarzem rosyjskim i jednym z najlepszych autorów świata.

Istnieje nietylko bardzo dużo dzieł i studjów o Dostojewskim, ale także znajdujemy we wszystkich językach mnóstwo wydań tego znakomitego pisarza.

Chcąc zareklamować to nowe wydanie, zawierające około 4500 stron druku w 24 częściach, chcemy każdemu Czytelnikowi niniejszego pisma dać możność otrzymania **bezpłatnie** niżej wymienionych dzieł. W tym celu należy tylko wypełnić załączony kupon i przesłać go w przeciągu dni 10 naszemu wydawnictwu.

Dzieła wyjdą w nowych świetnych, pod względem językowym przekładach wybitnych znawców rosyjskiej literatury i będą ilustrowane przez znanego polskiego artystę.

Książki będą wysyłane w kolejności nadchodzących zgłoszeń. Za opakowanie i koszta ogłoszeń żądamy gr. 60 za tom. Nasze wydanie obejmuje następujące dzieła:

„Wina i Kara“ — „Idjota“ — „Bracia Karamazowie“ — „Wspomnienia z martwego domu“ „Skrzywdzeni i poniżeni“ — „Gracz“ i t. d.

Bibljoteka Rodzinna, Warszawa, Mazowiecka 12

Prosimy **nie** załączać pieniędzy względnie znaczków pocztowych.

KUPON

ten prosimy czytelnie wypełnić i przesłać pod obok wskazany adres

BIBLJOTEKA RODZINNA, WARSZAWA, MAZOWIECKA 12. Nr. 510

Podpisany życzy sobie otrzymać bezpłatnie dzieła Dostojewskiego.

Nazwisko.. Ulica..

Zawód.. Poczta..

TO I TAMTO

Na próbie w teatrze. Reżyser:

— Proszę, niech pan to powie z odczuciem, głęboko, wzruszająco...

— Przecież tak mówię!

— Eh, żeby to powiedział stary Leszczyński...

— No, więc co ten Lesza?

— Moja pani, jak Leszczyński przeczytał głupią kartę restauracyjną, to potrafił to zrobić tak wzruszająco, że wszyscy płakali...

— Zapewne z przerażenia cenami restauracyjnemi.

* * *

W pracowni profesora uniwersytetu mały synek bawi się klockami. W pewnej chwili przerywa zabawę i pyta ojca:

— Powiedz, tatku, czemu ludzie nazwali jedno morze Martwem?

— Nie nudź, nie wiem...

Chłopiec wraca do zabawek. Niezrażony znów nagabuje ojca:

— Powiedz, tatku, co się robi ze snem, gdy człowiek się budzi...

— Nie wiem... — odpowiada ostro profesor...

Rad nierad chłopczyna ustawia dalej klocki. Nie może się jednak przezwyciężyć, by nie zapytać ojca:

— Tatusiu, a dlaczego ryby mają dużo ości?

— Nie pytaj się tyle, bo naprawdę nie wiem... — upomina ojciec...

— Zachodzę w głowę, za co zrobili cię profesorem uniwersytetu?... — dalej wywodzi syn.

* * *

Hotelarz do portjera:

— No i cóż? Amerykanin zapłacił już rachunek?...

— Gdzietam, szuka w słowniku przekleństw i nie może znaleźć...

* * *

Jasia boli ząb. Musi iść do dentysty, żeby mu go wyrwano. Lęka się bólu. Pociesza Jasia starszy braciszek:

— Nie bój się, nic ci nie będzie. Może to nawet lepiej, będziesz miał o jeden ząb mniej do mycia.

* * *

U lekarza: Sąsiadka wbiega zadyszana.

— Proszę niech pan zaraz idzie do mojej córeczki. Dostała zimnicy...

— Żałuję, ale ojciec jest nieobecny.

— Przecież pan może jej pomódz, pan też jest medykiem.

— Tak, ale na trzecim semestrze...

— Dla trzyletniego dziecka to wystarczy.

* * *

W magazynie strojów damskich.

— Suknia podoba mi się bardzo. Jaka szkoda, że jest za wąska. Trzeba będzie zrobić poprawki...

— Ależ gdzietam! Wystarczy, że pani odwiedzi naszego masażystę...

* * *

W restauracji. Gość do kelnera:

— Cóż u djabła, wszystkim pan poleca tę dziką rybę w majonezie...

— Bo jak goście nie zjedzą, to gospodarz da nam ją na kolację.

* * *

Nauczycielka, stara panna, zniecierpliwiona wytargała za uszy rozłobuzowaną dziewczynkę.

— Za co cię ukarała pani? — pyta koleżanka...

— Nie wiesz, za co? Bo jestem ładniejsza i młodsza...

Od Administracji

Uprzejmie prosimy Szan. Prenumeratorów prowincjonalnych o wpłacenie prenumeraty za miesiąc kwiecień lub kwartał II-gi r. b.



ANEGDOTY

Król Jerzy V opowiadał ostatnio, że będąc księciem Walji (i studentem) zwrócił się o pomoc materjalną do swojej babki, królowej Wiktorji, której pomoc ograniczyła się... do kilku rad na temat oszczędności. Jerzy V sprzedał list amatorowi autografów, ażeby bodaj w ten sposób uzyskać trochę pieniędzy. Królowa dowiedziała się o „handlu autografami" i od tej pory żądała zwrotu swoich listów, przysyłając po ich odbiór szambelana dworu.

*

Abel Hermant opowiada:

Podczas oficjalnego objazdu królowej Wiktorji pewien fabrykant pragnął ofiarować królowej tuzin par pończoch.

— Panie — zwrócił się jeden z adjutantów Wiktorji — królowa Anglji nie ma nóg.

*

Miljoner amerykański zwraca się na łożu śmierci do swojego pastora, który szepcze modlitwy.

— Czy byłaby zbawiona moja dusza, gdybym tak dał 25.000 dolarów na kościół?

— Nie ręczę, ale wartoby spróbować.

*

— Mężczyźni są bardzo zmienni.

— Dlaczego pani to mówi?

— Przed tygodniem byłam zakochana w Janie, a teraz nie mogę patrzeć na niego.

*

Przyjaciółka o przyjaciółce:

...Nie uwierzyłabym jej, gdyby nawet mówiła prawdę.

*

Pani do pokojówki:

— Jakto, Maryniu, wrzuciłaś ten list do skrzynki? Przecież koperta była nie zaadresowana.

— Właśnie, proszę pani, myślałam, że to list anonimowy.

NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI UBIEGŁEGO TYGODNIA

SEJM I RZĄD.

Budżet państwa będzie prawdopodobnie załatwiony przez Sejm do połowy czerwca, jak przypuszcza marszałek Daszyński.

Sejmowa komisja budżetowa rozpoczęła obrady w pośpiesznem tempie i załatwiła już budżety: p. Prezydenta Rzeczypospolitej, Prezydjum Rady Ministrów i Najwyższej Izby Kontroli Państwa.

P. Prezydent Rzeczypospolitej spędził święta w Spale, marszałek Piłsudski w Sulejówku. Większość ministrów rozjechała się również na ferje świąteczne.

Minister Zaleski wyjechał na krótki odpoczynek do Włoch, gdzie przy sposobności spotka się z premjerem Mussolinim.

POLSKA I LITWA.

Konferencja w Królewcu zakończyła się wyłonieniem trzech komisji: ekonomiczno-komunikacyjnej, dla spraw bezpieczeństwa i dla spraw ruchu lokalnego. Obrady ich rozpoczną się 20 b. m. Wynik więcej, niż skromny.

Delegacja polska w Królewcu wykazała maximum dobrej woli i cierpliwości. W ciągu obrad minister Zaleski zabierał kilkakrotnie głos, by zbijać kazuistyczne wywody p. Waldemarasa.

Pakt o nieagresji zaproponowała Polska w nocie do rządu Litewskiego. Litwa milczy, bo widocznie ta ugoda utrudniłaby jej antypolskie intrygi.

O wystąpieniu Litwy w Królewcu wyraża się prasa francuska bardzo ujemnie, ostrzegając p. Waldemarasa przed konsekwencjami w Genewie. Natomiast Rosja i Niemcy zadowolone z wątłego rezultatu obrad.

SPRAWY POLSKIE.

Przewodniczący delegacji niemieckiej do rokowań z Polską dr. Hermes podał się do dymisji. Nie przyjęto jej, chociaż p. Hermes objawił wyraźną niechęć do traktatu.

Polacy z Śląska opolskiego zwrócili się do Ligi Narodów z prośbą o opiekę przed gwałtami i terrorem niemieckim, który potęguje się ciągle.

Cena węgla w Polsce zostaje podwyższona o 10 procent. Nie przyczyni się to chyba do ukrócenia drożyzny, dającej się wszystkim we znaki.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Aktualne zagadnienia polityki sowiecko-niemieckiej i wschodniej omawiał ze Stresemanem p. Litwinow podczas przejazdu przez Berlin.

Przymierze zaczepno-odporne zawarła Anglja z Afganistanem. Ostrze skierowane przeciw Rosji i Turcji.

Traktat przyjaźni afgańsko-japoński podpisano w Londynie. Ma on dla Anglji w związku z innemi układami duże znaczenie.

Zatarg angielsko-egipski znowu się zaostrzył. Anglja grozi represjami i wzmocnieniem wojsk okupacyjnych.

Południowa armja chińska pod wodzą Czang-Kai-Szeka rozpoczęła ofenzywę przeciw Pekinowi. Chaos chiński potęguje się ustawicznie. Niewiadomo, kto z kim, przeciw komu.

Ruch wydawniczy

„ECHO TYGODNIOWE".

Pismo bez ilustracji! ogromna płachta, posługująca się wyłącznie wynalazkiem Gutenberga. Żadnej hałaśliwości, żadnego jazz - bandu, żadnej blagi! Dla rzetelnej inteligencji, nie dla nuworiszów. Bardzo tanie. Tutaj jest co czytać. Zato niema tutaj nic do oglądania. Pismo poważne w typie angielskiego „Observera". Nazywa się „Echo Tygodniowe" i pośród naszych wydawnictw perjodycznych zapełnia dotkliwą lukę. Na kilku ogromnych kolumnach omawiane tutaj są wszelkiego rodzaju wydarzenia światowe we wszystkich dziedzinach współczesnego życia. Poziom przedwojenny, z przed jazz - bandu, kiedy to ludzie rozmawiali inaczej, niż dzisiaj, kiedy umiano się poznać na subtelnym dowcipie i więcej go ceniono, niż kopnięcie piłki w bramkę.

W „Echu Tygodniowem", w tem interesującem piśmie o zupełnie odrębnem obliczu, wita „Świat" nowego kolegę, życząc mu powodzenia w trudnej pracy przywracania intelektowi przedwojennego znaczenia.



Redaktor odpowiedzialny St. KRZYWOSZEWSKI   Druk GALEWSKI I DAU, Warszawa